

JERZY BIDENKAP.

CO OPOWIADAŁEM
MOJEMU MAŁEMU SYNKOWI



A. A. PARYSKI
TOLEDO, OHIO.

1917

Własność F. Liackowskiego

No. 25.

Co Opowiadałem
Mojemu Małemu Synkowi



U.C. BERKELEY LIBRARIES



C095893632

JERZY BIDENKAP.

Co Opowiadałem
Mojemu Małemu Synkowi



A. A. PARYSKI,
TOLEDO, OHIO.

OPOWIADANIE O ZWIERZĘCIU, ZWANEM OGIEŃ, I O ZAPALCE.

Prawda dzieci, jakby to było źle, gdybyśmy nie mieli zapalek? Gdyby nie było tych malutkich drewnienek z czerwonymi lub ciemnymi łebkami, nie można by rozniecić ognia. A cobyśmy zrobili, gdy nadejdzie zima, mróz i tyle śniegu spadnie na ziemię! A jeżeliby to zimno trwało nie tylko dziś, ale jutro i pojutrze i cały tydzień, straszniebyśmy wtedy marzli, a z zimna bolałyby nas ręce i nogi; a ponieważ woda zamieniłaby się w lód, więc nie możnaby nie jeść, ani pić, bo wszystko byłoby zmarznęte.

Mama nie mogłaby wam dać rano gorącego mleka bo nie byłoby ognia, przy którym możnaby je ugotować. Trzebaby się było wyrzec ciepłego śniadania, a na obiad gotowanych jarzyn i smażonego mięsa.

Wieczorem znówu musielibyśmy wszyscy siedzieć po ciemku, bo bez za-

pałek nie można zapalić świecy, ani lampy, a mamusia nie miałaby przy czem naprawiać waszych ubrań i pończoszek, które drzecie przez dzień przy zabawie.

O inaczej byłoby to, niż teraz! Byłoby prawie tak samo, jak przed wieloma tysiącami lat, kiedy ludzie nie mieli zapalek, a także jeszcze nie umieli rozniecić ognia.

Posłuchajcie jak to było przed wielu, wielu tysiącami lat!

Nie było wtedy jeszcze takich ładnych domów, w którychby można było mieszkać i chronić się w nich przed zimnem śniegiem, deszczem lub upałem. Ludzie wtedy nie mieli łóżek, w których my teraz tak wygodnie i przyjemnie śpimy w nocy. I ulic wcale nie było, i kolei żelaznych, i sklepów i cukierni, w których sprzedają takie smaczne ciastka.

Wszędzie był tylko las, las i las, lub woda, a gdzie się las kończył było znowu pole, a na niem rosła trawa kwiaty i kłosa zboża, a gdy się przeszło przez

pole, wchodziło się znowu do dużego lasu. W takim ogromnym lesie nie było żadnych dróg, ani domów, gdzieby mieszkali ludzie, a w niektórych miejscach tego lasu było smutno i ponuro, były wielkie bagniska i trzęsawiska. A jak się trzeba było pilnować, gdy się chodziło po takim lesie!

Mężczyźni, kobiety i dzieci, wszyscy chodzili wtedy boso, bo nie znali jeszcze obuwia, w lesie zaś można było spotkać gadziny jadowite, które trudno było rozpoznać, bo czasami wyglądały, jak złamana gałązka drzewa. Człowiek nie uważał na taki niby to kawałek drzewa, stąpnął nań nogą, a tu naraz gałązka taka wygina się i staje się złą syczącą żmiją, która kąsa człowieka w nogę, i obwija się wokół niej. Bywały w tych lasach węże tak duże i grube, że mogły udusić człowieka, gdy się obwinęły wokół niego.

To było straszne, nieprawdaż? I dziś jeszcze ludzie tak samo boją się węży, choć te, które teraz spotykamy w lesie, są o wiele mniejsze. Tylko w da-

lekich krajach i ziemiach, w Indyach, w Ameryce i w Afryce są jeszcze takie wielkie węże jadowite.

W tym wielkim dawnym lesie, który rósł przed wielu tysiącami lat, oprócz okropnych węzów, były jeszcze i inne straszne rzeczy. Były dzikie niedźwiedzie, o ostrych zębach i silnych pazurach, mruczące głośno, gdy były rozniewane. Na brzegu lasu pasły się silne dzikie woły, które rzucały się na człowieka, i przebijały go rogami. Było też i wilków niemało. Gonily one ludzi i zwierzęta, i rozszarpały je swemi ostrymi zębami. Wtedy ludzie przed temi dzikimi zwierzętami chronili się na drzewa. Ale jeżeli dziecko lub dorosły człowiek nie potrafili szybko wdrzeć się na drzewo i zręcznie łązić po niem źle im się działo, bo stawali się pastwą tych drapieżników. Ale kto umiał prędko i zręcznie wdrapywać się na drzewa, ten się mógł uratować i odłamana gałęź odganiać się od napastników.

Jak ptaki budują na drzewach gniazda, tak dawniej w wielkich lasach

ludzie budowali sobie wysoko domki na gałęziach.

To samo robią niektóre ludy i dziś jeszcze w niektórych okolicach ziemi np. w Australii. W ten sposób mogli i mogą przynajmniej ukryć się przed ulew-
nym deszczem, lub silnym wiatrem, który wył i świszczał nieraz strasznie i przed swemi wrogami, dzikimi zwierzętami.

Ale ognia w tych domkach nanieścić nie mogli, nawet gdyby potrafili to zrobić, bo wtedy ludzie nie znali jeszcze ognia!

Wśród tych wielkich lasów były w jednym miejscu dwa lasy. Jeden las leżał wysoko na górze, a drugi ciągnął się przez długą dolinę. Ludzie, którzy mieszkali w tym górskim lesie byli bardzo niedobrzy, a ci którzy kryli się w lesie na dole byli dobrzy i spokojni. Raz się zdarzyło, że gdy ludzie z dolin zbierali rankiem w swoim lesie grzyby, jagody i owoce na pożywienie, przyszli ludzie z górskiego lasu, odebrali im cały ich zbiór jeszcze pobili ich srodze.

Ci ludzie z gór mieli ostre kamienie, osadzone na długich, mocnych gałęziach i wywijali niemi, gdy się kto do nich zbliżał. Byli więc dłatego silniejsi od ludzi z dolin, którzy nie mieli ostrych kamieni, a bez nich nie mogli sobie zrobić siekierek kamiennych. Ostre kamienie można było znaleźć tylko na zboczach góry, gdzie mieszkali ludzie górscy.

Smutno też było tego dnia, w którym się odbył napad ludzi z gór. Ludzie z dolin zostali pobici, zabrano im owoce i jagody, a małe dzieci były głodne, płakały i narzekały głośno. Dopiero wieczorem rodzice przynieśli coś do zjedzenia, całe bowiem popołudnie szukali pożywienia.

Następnego dnia pojawili się znowu źli ludzie z gór, uzbrojeni w swoje toporki znów napadli ludzi z dolin. Porwali im też przyniesione owoce i jagody, a gdy ci się bronili, grubemi gałęziami zabili kilku mężczyzn.

Ludzie z dolin bardzo się zasmucili a widząc, że nie poradzą napastnikom, umówili się, że opuszczą swoje szałas i

jeszcze tej nocy pójdą do innego lasu. Gdy księżyc się pokazał, wzięli swe małe dzieci pomiędzy siebie, uzbroili się w silne gałęzie i wyruszyli przez las w drogę.

Im dalej szli, tem więcej widzieli gór i pagórków, tem wyższe były te pagórki, aż nareszcie weszli na jedną górę. Stamtąd zobaczyli duże pole, pokryte trawą.

Tego dnia był ogromny upał i wyschnięta trawa zapaliła się w niektórych miejscach. Gdy nadeszła noc, wiatr rozdmuchnął tłącą się trawę i powstał wielki ogień, który spalił wszystko na polu, oraz drzewa tam rosnące. Zwierzęta uciekały przed ogniem, wyjąc i rycząc z przestachu. Ludzie z góry patrzyli na to zniszczenie i myśleli, że ten ogień, to jest jakiś straszny, wielki, czerwony zwierz, który wyrzuca z siebie ogromne kłęby światła i dynu, i rośnie bardzo prędko. Złękli się go bardzo i byli pewni, że ten zwierz i ich zabije, niektórzy zaś mówili, że lepiej było

zostać w tamtym lesie, gdzie dotąd mieszkali i znosić napaści i bicie ludzi z gór.

Ale inni słysząc taką tchórzliwą mowę, gniewali się, i radzili tym, co tak mówią, aby wracali do dawnego opuszczonego lasu.

Tymczasem ten straszny zwierz, którego się ludzie tak obawiali, oddalał się powoli, a gdy nadszedł poranek, widać było już tylko bardzo daleko resztki owego niszczącego ognia.

Wtedy ludzie zeszli z tej góry na pole i zobaczyli, że trawa i drzewa zostały spalone. Znaleźli też kilka spalonych zwierząt i zobaczyli po raz pierwszy w życiu mięso upieczone. Spróbowali go, a że im smakowało, zjedli je i uczuli, że im to dodało sił. Teraz rozejrzeli się wokoło i zobaczyli z boku góry dużą jaskinię, przed którą palił się jeszcze pień drzewa.

Ponieważ był to niewielki ogień, ludzie mniej go się bali i zbliżyli się do niego, aby się przekonać, co też to czerwone zwierzę im robi.

A ogień pożerał dalej spokojnie pień drzewa. Ludzie patrzyli na to, ale nikt nie miał ochoty, ani śmiałości dotknąć się tego zwierzęcia, które raz po raz wysuwało swe czerwone języki.

Tylko jeden mały chłopiec, nazwiskiem Śmiałek, wziął kawałek gałęzi, podszedł do tego zwierzęcia ognia podał mu tę gałąź i powiedział:

— Masz, zjedz i to, ty okropne zwierzę!

Gdy tak trzymał gałąź przez czas jakiś, ta zaczęła się palić. Śmiałek spróbował dotknąć jej palcami, ale czerwone zwierzę ukąsiło go. Śmiałek przestraszył się, rzucił na ziemię palącą się gałąź, a ojciec i bracia podbiegli i zaczęli bić swemi gałęziami palące się drzewo. Ponieważ ogień był jeszcze mały, udało im się zabić to niebezpieczne zwierzę.

Tymczasem zrobił się już dzień i ludzie mieli wielkie pragnienie, bo po raz pierwszy w życiu jedli pieczone mięso, zamiast owoców i jagód. Przeszli obok góry przez pole i wkrótce doszli do du-

żej, płynącej wody. Tam zobaczyli, że ogień zjadł trawę tylko do brzegu wody i że woda nie przepuściła tego zwierzęcia na drugą stronę.

Wtem ujrzeli dwa palące się jeszcze pnice drzewa. Nabrali więc wody do rąk i oblewali nią zwierzę-ogień, tak, że niedługo przestało żyć. Wtedy chcieli zabić i drugie zwierzę. Ale jeden stary, siwowłosy i siwobrody człowiek powiedział:

— Nie róbcie tego. Potrzymajmy nasze gałęzie tak, żeby na nie schwycić to zwierzę i weźmy je ze sobą do naszego nowego siedliska. Patrzcie, tam pod lasem widzę jaskinię. Tu na dole płynie czysta woda. Zamieszkajmy tu!

Zapalili więc swoje gałęzie u ognia i poszli ku jaskini. Gdy się zbliżali do niej, wyskoczył stamtąd duży lew, lecz ludzi zapalającymi się gałęziami, przeląkł się i uciekł. Ludzie weszli do jego mieszkania i przy pomocy płonących gałęzi wypędzili wszystkie zwierzęta, jakie tam były: węże, jaszczurki, a nawet różne nieznosne owady.

Wtedy poznali ludzie, że ogień jest miłem i dobrem zwierzęciem i może być bardzo pożytecznym przyjacielem, który ich potrafi ochronić od dzikich zwierząt. Tylko trzeba pamiętać, aby zaledwie blisko do niego nie podchodzić i aby mu dawać dosyć jeść. Wybrano zaraz dwie kobiety, które miały dawać jeść ogniewi i pilnować go, żeby nie rósł zaledwie, ale też żeby nie był zbyt mały i słaby.

Już teraz nie potrzeba było budować domków na drzewkach, bo wszyscy mogli mieszkać w tej dużej jaskini. A gdy się zbliżał lew, lub wielki wąż, ludzie brali zaraz zapaloną gałąź i odpędzali te dzikie zwierzęta.

I tak powoli oczyścili cały las na swojej górze ze szkodliwych drapieżnych zwierząt.

Jakże teraz cieszyli się, że opuścili swoje dawne siedlisko. Żyli spokojnie, mieli więcej jedzenia: mięso surowe i pieczone, pieczone jabłka i już nie potrzebowali całymi dniami szukać pożywienia. Mogli też zbierać ostre, śnieża-

ste kamienie, wiercić w nich otwory i osadzać je na kijach. Tym sposobem robili sobie toporki i młoty kamienne.

Gdy pewnego poranku wyszli ze swojej jaskini, zobaczyli na dole, na równinie, obcych ludzi. To byli tamci źli ludzie z gór, którzy ich wypędzili z ich poprzedniej siedziby, a teraz i tu znowu przyszli im dokuczać. Wywijali swojemi siekierkami i toporkami kamieniami i wyzywali ich, wyśmiewając się z nich.

Wówczas ludzie jaskiniowi wzięli swoje ostre toporki i duże zapalone łuczywa i zeszli z góry, idąc na nieprzyjaciół. Ale ci, gdy zobaczyli ogień, przelekli się ogromnie i umknęli szybko; a gdy zobaczyli, że ludzie jaskiniowi ich gonią, uciekali jeszcze prędzej. Biegając tak, nie zauważyli, że zbliżają się do rzeki i naraz znaleźli się nad wodą. A ludzie jaskiniowi byli tuż za nimi ze swoimi ognistemi pochodniami. Wtedy przestraszeni ludzie z gór wskoczyli do wody, ale że rzeka była w tem miejscu głęboka, potonęli wszyscy.

Ludzie jaskiniowi byli bardzo zadowoleni. Przez cały dzień jedli, tańczyli i pili sok wyciśnięty z owoców. Ale po tem jedzeniu i piciu zaciężyla im głowa i zasnęli tak mocno, że obudzili się dopiero na drugi dzień. Powstali z bólem głowy i widzieli, że słońko było już wysoko na niebie, a gdy spojrzeli wokół jaskini, spostrzegli, że zwierzę ogniste zamarło. Nikt go nie pilnował w nocy i nie dawał mu świeżego jedła, bo wszyscy za długo spali.

Mieszkańcy jaskini zasmucili się i zawstydzili bardzo. Ogień bronił ich przed złymi ludźmi i dzikimi zwierzętami, a oni odpłacili mu te usługi taką niewdzięcznością i pozwolili temu kochanemu ogniewi umrzeć przez noc!

Zaraz poznali, jak im źle teraz. Lwy i tygrysy stały się znów zuchwalsze a i węzów było daleko więcej. A raz nawet w nocy, gdy zasnęli, tygrys przyszedł do jaskini, porwał dziecko i porwał.

Wtedy wszyscy zaczęli się naradzać czy pozostać, jeszcze dłużej w tej

jaskini. Niektórzy mówili, że trzeba znowu zbudować chatki na drzewach.

Na to inni odpowiadali, że już się oduezyli z ręcznego włożenia na drzewo.

— Zostańmy tu, — radzili. — Gdy nadejdzie lato i upały, wtedy może pojawi się znów wielki ogień, a my go schwytaemy tak jak przedtem.

— Dobrze, — mówili inni, — jeżeli nas do tego czasu nie pożrą lwy, to możemy czekać.

Wtem powstał młody Śmiałek i zapytał.

Co mi dacie, gdy wam powrócę wasz ogień?

— Dam ci mój najpiękniejszy toporek kamienny — zawołał jeden.

— Dam ci mój najcięższy młot kamienny — zawołał drugi. — Ośm razy pokazało się i ośm razy skryło się słońce zanim mi się udało umocować ten kamień na kij!

— Nie chcę waszych toporów i młotów. Chcę tylko, żebyście mnie uważali za dorosłego człowieka, a nie za malca. Chcę, żeby potem nikt mnie nie bił i

nie mówił mi, że jestem głupi chłopak. Jeżeli mi to przyrzekniecie, to spróbuję, czy potrafię wam wrócić ogień.

Wszyscy przyrzekli mu, że go od-tąd będą uważali za dorosłego i że nikt nie będzie go bił dla tego, że jest jeszcze małym chłopcem.

Wtedy Śmiałek opowiedział im, jak będzie próbował, aby otrzymać ogień.

— Widziałem już często, — mówił — że z kamieni mogą wyskakiwać małe ogniki. Trzeba tylko jeden kamień mocno uderzyć o drugi. Zbierzmy dużo suchej trawy i spróbujmy, czy te małe ogniki, te iskierki, nie będą pożerać cienkich ździebełek trawy i nie staną się wielkim ogniem. Zauważyłem, że sucha trawa najprędzej chwytą ogień. Może też i teraz pochwyci iskierki, które są w kamieniach i da się im pożreć. Chodźcie do jaskini, weźcie czarne kamienie, może uda nam się wykrzesać z nich mocne iskry.

Ludzie jaskiniowi wzięli swoje krzemienie, zebrali dużo suchej cien-

kiej trawy i ułożyli ją na miejscu, gdzie był dawniej ogień. Potem uderzali krzemieniem o krzemienie tak silnie, że iskra za iskrawą wyskakiwała i padała między trawę. Nagle trawa zaczęła się tlić; ludzie zaczęli mocno dmuchać w to miejsce i rozpałił się ogień.

Śmiałek prędko dołożył gałęzi i teraz ludzie mieli znowu swego wiernego przyjaciela, któremu nie można dawać ani za dużo, ani za mało pożywienia.

Jakże się teraz cieszyli! Już się nie bali, gdy lew ryczał przed jaskinią, lecz brali zapalone gałęzie i topory, i odpędzali go daleko. A że oni tylko umieli rozniecać ogień, byli więc najsilniejsi pośród innych ludzi i nikt nie śmiał zabierać im cokolwiek, lub na nich napadać.

Śmiałek zaś odtąd był uważany za dorosłego chłopaka, kochano go też bardzo i szanowano.

Od tego czasu, gdy ludzie jaskiniowi poznali ogień, upłynęło wiele, wiele tysięcy lat. Z ludzi tych wytworzył się lud silny i wielki. Pobudowano mia-

sta i porobiono na nich ulice. Starzy ludzie poumierali, a małe dzieci wyrosły i znów pomarły. I tak przeszło wiele tysięcy lat.

Leecz ludzie wciąż rozniecali ogień w ten sposób, że z krzemieni krzesali iskry. A to jest bardzo męczące. Spróbujcie kiedy to zrobić, a zobaczycie, jak to trudno w taki sposób zapalić cokolwiek.

Od tego czasu ludzie ciągle wynajdywali coś nowego i uczyli się wciąż nowych rzeczy.

Ale długo jeszcze ogień zapalali po dawnemu. Aż nareszcie przyszło im na myśl pociąć małe drewnienka, namoczyć je w jakim palnym materiale, aby za potarciem łatwiej i prędzej się zapalały. Porobiono im też czerwone i niebieskie łebki w których znajduje się pełna masa (siarka, fosfor), że wystarczyło potrzeć taki łebek o coś szorstkiego, a zaraz powstawał ogień. Mądrzy, to byli ludzie, którzy takie zapalki wy-

myślili. Prawda? Widocznie myśleli i uczyli się.

A czy wiecie, kto teraz robi te zapalki? Są duże fabryki, a w nich wiele maszyn, które pracują daleko prędzej niż ludzie. Przez jeden dzień maszyny takie zrobią tyle zapalek, że ludzie wszędzie mogą nimi rozniecić ogień.

A skąd biorą się drewnienka na zapalki?

Ścina się duże drzewo, potem piłą rozrzyna się je na części. Takie kawałki struże maszyna, a potem rozcina na cienkie drewnienka, które inna maszyna macza w masie palnej. Inna znów maszyna przygotowuje pudełka, w których te zapalki bywają rozsyłane po całej ziemi.

Ileż to tysięcy lat przeszło, zanim człowiek doszedł do tak łatwego rozniecania ognia i jak się on przedtem namozolił!..

PIERWSZA ŁÓDKA.

Przed wieloma tysiącami lat żyli pewni rodzice, a mieli dwoje dzieci: chłopca i dziewczynkę. Mieszkali w małym domku, ułożonym z pni drzewnych, a gdy się zeń wyszło, widać było duże pole, pokryte zbożem. Wśród zboża kwitły czerwone maki i błękitne bławatki, i nad niem wysoko, w powietrzu śpiewały skowronki.

Z polem zbożowem graniczył duży ciemny las, w którym rosły krzewy jeżynowe i malinowe.

Czasami z głębi lasu wychodził wilk, lub niedźwiedź. Ojciec i matka krzyczeli wtedy i trąbili w róg tak mocno, że można było usłyszeć głos z bardzo daleka. Zbiegali się też zaraz sąsiedzi z najbliższej okolicy, bo się tak umówili, że jedni drugim będą pomagać; uzbrojeni w dzidy i topory kamienne, gonili dzikie zwierzę, zabijali je, a skórę oddawali temu, kto pierwszy zastrąbił na rogu. Ten człowiek robił sobie ze skóry zabitego zwierzęcia odzie-

nie, a gdy nadeszła zima, futro chroniło go od mrozu.

Niedaleko od domku, na pograniczu lasu i złocistego falującego pola zbożowego, przepływał duży, szeroki strumień, w którym kąpał się mieszkańcy domku. Woda strumienia była czysta i jasna, i mały chłopiec przepędzał nad nim w lecie całe dnie, łowiąc małe rybki. Czasem nadpłynął jaki stary pień drzewny, a wtedy chłopiec siadał nań i pozwalał się mu unosić daleko; czasem zsunął się z pnia w wodę i trzymając się go jedną ręką płynął za nim. W ten sposób uczył się pływać.

Gdy chodził z ojcem na polowanie, żeby dostarczyć mięsa dla całej rodziny, a spotykali czasem po drodze większą wodę nazywaną się rzeką, chłopiec umiał ją przepłynąć, tak jak i jego ojciec; to też mogli przedostać się tam, gdzie nie potrafili dojść ci, co się pływać nie nauczyli. Ponieważ zaś chłopiec ten bardzo szybko i zręcznie umiał pływać, sąsiedzi nazwali go **Strzałką Wodną**.

Był to nie tylko zwinny, ale i rozumny chłopiec, uważał zawsze na to, co się działo wokół niego. Umiał też wyrabiać bardzo dobre narzędzia: siekiery kamienne, łuki i młoty.

Zdarzyło się raz, że silna burza przeszła ponad całą okolicą. Błyskało i grzmiało, a deszcz padał bardzo długo.

Nad strumieniem stało stare wydrążone drzewo wierzbowe. Piorun uderzył w nie i rozszepił na dwie połowy, z których jedna upadła wpoprzek strumienia.

Gdy burza minęła, Strzałka Wodna poszedł nad strumień i zobaczył tę wydrążoną połowę pnia wierzbowego, leżącą na wodzie. Zepchnął pień całkowicie na wodę, usiadł w wydrążeniu i pozwolił się unosić prądowi strumienia.

O! jak to było pięknie i miło! Chłopiec nie zamaczał się wcale i mógł się cały położyć w wydrążonym pniu.

Miał więc prawdziwą łódkę! Ale nie umiał jeszcze kierować nią.

Gdy łódka zbliżyła się do brzegu, chłopiec schwycił się trawy, rosnącej na samym brzegu i posuwał się tak przeciw prądowi, stojąc w pnju wierzbowym. Potem wziął silną gałąź, którą burza odłamała od drzewa i użył jej przy płynięciu przeciw prądowi, odpychając się nią po wodzie i od brzegu. Mały wiosłarz przekonał się również, że jego łódka posuwała się i wtedy, gdy włożył obie ręce do wody i poruszał nimi.

Wtedy ociosał ze wszystkich stron swą łódkę, żeby wyglądała jak nowa i zrobił z jednego kawałka drzewa drag, zakończony szeroką łopatką, aby się lepiej odpychać od wody. To było pierwsze wiosło!

Łódka sprawiała chłopcu wielką przyjemność: mógł na niej wozić siostrzyczkę, a gdy jakie dziecko i z sąsiedniego domku przyszło ich odwiedzić, Strzałka woził je swą łódką.

Ale spokojne i przyjemne życie nie trwało długo. Jednej nocy rodzice Strzałki Wodnej zbudzili się nagle ze

snu, gdyż rozległo się straszliwe trąbienie i usłyszeli krzyki i jęki w pobliżu. Wyszli przerażeni ze swojej chatki i zobaczyli daleko, po drugiej stronie pól zbożowych, krwawą łunę na niebie. Trąbienie w rogi nie ustawało ani na chwilę.

Wtedy poznali, że źli obcy ludzie napadli na ich sąsiadów i palą ich chatki. To też rodzice prędko zbudzili swoje dzieci, wołając:

— Chodźcie żwawo, nieprzyjaciele są we wsi! Schronimy się do lasu!

Ale już było zapóźno. Gdy ponownie wyszli z chaty, zobaczyli czterech jeźdźców, pędzących na koniach przez pole zbożowe i wywijających groźnie długimi dzidami. Można ich było widzieć, ponieważ luna oświeślała całą okolicę.

O ucieczce nie mogło być mowy.

W mgnieniu oka rodzice Strzałki, on sam i jego siostra zostali otoczeni przez jeźdźców, zarzucono im sznury na szyję i musieli iść tam, gdzie jeźdźcy kierowali swe konie. A gdy nie biegli

dosyć prędko, postronki się wyprężały, i ściągały szyję idących tak mocno, że udusiliby się, gdyby nie przyśpieszali kroku.

Strzałka Wodna płakał gorzkimi łzami, widząc jak jego ojciec, matka i siostra biegna obok koni nieprzyjaciół tak prędko, że pot spływa z ich twarzy. Ale nie mógł im nic pomódz, bo przecie i on sam musiał tak biedz, a w dodatku jego jeździec uderzał go często po grzbiecie. Na szczęście, przybyli nie długo tam, gdzie się zgromadzili pozostali źli ludzie. Popalili oni w całej okolicy chaty, mieszkańców zaś w części zabili, w części wzięli do niewoli, tak jak Strzałkę Wodną i jego rodziców.

Wszyscy mężczyźni, kobiety i dzieci byli powiązani w taki sposób, żeby nikt nie mógł uciec. Potem otoczono ich wielu jeźdźcami i musieli tak całą noc i cały dzień iść lub biedz za nieprzyjaciółmi. Nie dostawali nic do jedzenia i picia, ale zato bito ich prawie ciągle.

Następnego dnia pochód szedł znowu dalej, aż wreszcie doszedł do kraju,

gdzie źli ludzie mieli swoje chaty i stajnie. Zaraz rozdzielili niewolników między sobą i do każdej chaty dano jednego. Tutaj musiał on robić wszystko co mu rozkazał zły człowiek, właściciel chaty.

W ten sposób rozłączono Strzałkę z jej ojcem, matką i ukochaną siostrzyzką, i odtąd nie mógł chłopiec ani płynąć statkiem, ani zrywać czerwonych i błękitnych kwiatów w zbożu, ani cieszyć się śpiewem skowronków. Cały dzień musiał pracować, był też często bity i dostawał mało pożywienia.

Biedny chłopiec uciekłby był chętnie, ale nie śmiał tego próbować, bo jednego z ludzi, który raz uciekł, źli ludzie dogonili i przyprowadzili, mieli bowiem konie i prędko dobiegli do miejsca, do którego on doszedł.

Raz usłyszał Strzałka Wodna, że w pobliżu płynie wielka rzeka, bardzo szeroka i bardzo głęboka, tak, że nikt nie potrafił jej przepłynąć. Nawet źli ludzie nie przepływali nigdy tej rzeki, bo choć konie umieją pływać, ale ludzie nie

odważyli się na to, żeby przeprowadzić się na grzbietach koni na drugi brzeg. W każdym razie było rzeczą pewną, że jeszcze żaden ze złych ludzi nie przepłynął prze rzekę, ani nie przejechał jej konno.

Ta wiadomość zachęciła Strzałkę do spróbowania ucieczki.

Raz nocą, gdy złi ludzie upili się i nahałasowawszy, zasnęli mocno, a nikt nie stróżował, wymknął się Strzałka z chaty i skierował ku rzece.

Niedługo doszedł do ciemnego lasu obok którego w krzakach śpiewały słowiki, a zdaleka słychać było wycie wilków. Ale Strzałka nie lękał się. Wolał raczej umrzeć w walce z dzikimi zwierzętami, niż być nadal niewolnikiem, z którym się źle obchodzą.

Podróż przez las była uciążliwa. Nie znano wtedy takich dróg, jak dziś; wszędzie leżały pnie drzew powalone i Strzałka musiał przez nie przelazć, przyczem nieraz upadał, zaczepiwszy o gałąź. Na szczęście księżyc świecił jasno.

Nieza długo chłopiec ujrzał wąską ścieżkę, którą przebiegały dzikie zwierzęta, idące do wody, i odtąd szedł tą dróżką. Gdyby tak dłużej błędził w starym lesie, jakże łatwo mogłoby go napasać jakie zwierzę lub ukąsić wąż jadawity!

Wreszcie udało mu się dojść do wielkiej rzeki. Powierzchnia wody błyszczała w świetle księżyca jak zwierciadło, a była tak wielka, że dopiero w dali widać było drugi jej brzeg. To nie była taka mała woda, jak strumyk, w którym Strzałka uczył się pływać i jeździć na swoim statku, to była duża, duża woda. To też widok jej przejął chłopca strachem.

— Ale czy mam znowu wrócić do niewoli — myślał — i dać się bić? I czyż nie byłoby gorzej, jeżeli następnego rana źli ludzie tu przybędą i mnie schwytają, a później zabiją? Nie, wolę zginąć w wodzie, niż jeszcze raz wrócić do tych złych ludzi!

Zdjął skórę, którą był odziany, związał ją mocno z siekierą i przymoco-

wał sobie na grzbiecie tak, żeby mu nie przeszkadzała przy pływaniu. Potem wskoczył do rzeki i popłynął. Gdy już był na środku rzeki, zabrakło mu sił, ale na szczęście woda unosiła właśnie kawał drzewa. Chłopiec dopłynął doń, dosiadł go jak konia, i tak odpoczął po zmęczeniu. Potem ze wzmocnionemi siłami opuścił płynący pień i skierował się do drugiego brzegu.

Dostał się tam szczęśliwie, a że właśnie poranne słońce wysłało swoje promienie na ziemię, mógł nie tylko sam się osuszyć i ogrzać, ale i wysuszyć swoją skórę, którą się okrywał.

Od brzegu prowadziła droga przez bujne łąki, Strzałka szedł brzegiem w górę rzeki, t. j. przeciw jej biegowi. A dlatego wybrał tę drogę, bo myślał sobie, że jeżeliby nadeszli jacy nieprzyjaciele, będzie mógł uratować się wskoczywszy do rzeki, a gdy się od niej oddali, nie mu to nie pomoże, że umie pływać.

Gdy tak szedł przez cały dzień, poczuł wreszcie silny głód. Ani jagód, ani

owoców nie znalazł dotąd w czasie swej podróży, i zmęczony, znużony, włókł się dalej brzegiem rzeki. Na dobytek złego zobaczył jakichś jeźdźców na przeciwległym brzegu. Byli to właśnie ci źli ludzie, od których on uciekł. Lecz na szczęście nie odważyli się popłynąć przez rzekę.

Naraz i z tej strony, wzdłuż której szedł Strzałka, nadszedł pędem inni jeźdźcy, lecz nie uczynili mu nic złego, tylko zagrozili swemi dzidami tamtym nieprzyjaciołom na drugim brzegu. Ci, zobaczywszy, że Strzałka znalazł obrońców i ponieważ był już późny wieczór, zawrócili konie i odjechali pędem.

Nowi jeźdźcy obeszli się bardzo przyjaźnie ze Strzałką i zaprowadzili go do swej wsi. Tam dali mu jeść, pić i schronienie, w którym mógł wypocząć.

Następnego dnia zaprowadzono go do króla tych uprzejmych ludzi, i chłopiec musiał mu opowiedzieć, co się zdarzyło jemu i jego rodzicom u tych złych ludzi, ilu ich było, czy byli silni i jaką mieli broń. Król już wiedział o nich, bo

już raz napadli na jego kraj. Wyszukali na rzece takie miejsce, gdzie konie łatwo mogły przejść przez wodę i dostali się na drugą stronę rzeki. Tam pojechali prędko do wioski tego króla i napadli na jej mieszkańców w nocy. Ale ludzie króla wzięli się odważnie do broni i odpędzili tych złych ludzi.

Król pragnął ich ukarać, tembardziej, gdy usłyszał, jak się źle obeszlili ze Strzałką, z jego rodzicami i mieszkańcami jego wioski. Z opowiadania chłopca pomiarkował jednak, że źli ludzie byli liczniejsi, niż jego poddani. A przeciw wielkiej liczbie ludzi trudno występować.

Król rozmyślał, jakiego sposobu użyć, żeby ukarać tych złych ludzi, ale nie wpadł na żaden odpowiedni pomysł. Raz zapytał naszego małego przyjaciela:

— Mój chłopcze, mówiłeś nam, że na imię ci Strzałka Wodna. Dlaczego cię tak nazwano... My znamy tylko strzały, które mogą przebiegać powietrzu. Nie znamy zaś żadnej strzały, któ-

raby mogła przerzynać wodę: potrafią to robić tylko ryby. Ale ty nie jesteś rybą, opowiedz nam więc, czemu cię nazywano Strzałką Wodną?

Wtedy odpowiedział Strzałka:

— Chłopczy i dziewczęta z mego miejsca rodzinnego nazywali mnie dlatego Strzałką, ponieważ umiałem pływać w wodzie, jak ryba.

— Co? — wykrzyknął król zdumiony, potrafisz pływać? Nikt u nas nie zna tej sztuki. Musisz nam ją pokazać!

— Chętnie — odrzekł Strzałka. — Jeżeli chcesz, o królu, mogę ci jeszcze coś więcej pokazać, przez wdzięczność za to, że twoi ludzie przyjęli mnie tak gościnnie. Ja nie tylko umiem pływać, ale i jeździć po wodzie łódką.

— Potrafisz jeździć łódką! — zawołał król. — Co to jest łódka? Ja jeszcze tego nie widziałem.

Wtedy Strzałka rzekł:

Daj mi dwudziestu ludzi, każdy niech weźmie swoją kamienną siekierę, a zrobimy łódkę.

Król dał Strzałce dwudziestu ludzi, a każdy z nich wziął z sobą siekierę kamienną i udali się do najbliższego lasu. Ścięli tam piękne i proste drzewo i odrabali gałęzie, potem Strzałka kazał siekierami wydrążyć drzewo.

Pracowali dwa dni i wydrążyli drzewo, a ociosali o wiele ładniej, niż osam to zrobił z połową pnia wierzbowego, na którym uczył się jeździć łódką.

Potem zaciągnięto drzewo na rzekę. Strzałka wsiadł weń, wziął wiosło, które sobie tymczasem wystrugał i wypłynął na nowym statku na rzekę.

Wtedy król i jego poddani otworzyli szeroko oczy ze zdumienia i cieszyli się, że teraz i oni nauczą się tej sztuki.

Król darował Strzałce piękną dzidę z ostro zakończonym kamieniem i powiedział mu, że wiele, wiele razy widział wschód i zachód słońca, zanim tę dzidę wykończył.

Przy pomocy dobrych ludzi króla, Strzałka zrobił jeszcze dwadzieścia takich łódek. Sto razy słońce wschodziło na niebo i sto razy chowało się poza

drzewami starego lasu; ale nim skryło się sto pierwszy raz, dwadzieścia łódek było już ukończonych. W każdej łódce były cztery siedzenia dla wioślarzy i do tego cztery wiosła ..

Wtedy ludzie królewscy urządzili wielkie święto, a gdy byli najbardziej rozweseleni, król powiedział do nich:

— Niedawno temu źli ludzie z tamtej strony rzeki napadli na nas nocną porą. Myśmy ich odpędzili, ale nie udało się nam ukarać ich, bośmy nie byli dość silni, żeby ich dosięgnąć w ich własnych siedliskach. Nasz mały przyjaciel i jego rodzice ucierpieli dużo od nich.

Teraz nadszedł czas, żeby im się odwzajemnić. Mamy sposób zapanowania nad naszymi wrogami! Dzięki nauce Strzałki, zrobiliśmy łódki, z ich pomocą przeprowadzimy nasz plan i chociaż jesteśmy słabsi, zwyciężymy ich.

Słuchajcie mego planu! Napadniemy na nich z dwóch stron: z przodu i z tyłu. Oto jedna część naszych jeźdźców, pojedzie w górę rzeki do miejsca, gdzie ona jest tak wązka, że konie mogą

przejsć na drugi brzeg. Przeprowadzą się przez rzekę i pojedą ku wiosce złych ludzi. Ci zapewne wyjadą naprzeciwko nas. Równocześnie przepłynie druga część naszych ludzi na łódkach przez rzekę, i napadnie na tamtych ludzi właśnie wtedy, gdy oni opuszczą swoją wioskę.

Żli ludzie będą myśleli, że oprócz nas przyszli jeszcze inni nieprzyjaciele do ich wioski i będą uciekali, bo będą się bali napasći z dwóch stron. My tymczasem oswobodzimy rodziców i siostrę Strzałki Wodnej, a także ludzi z jego wsi rodzinnej, damy im broń i zabierzemy na nasze łódki. Potem przeprowadzimy naszych jeźdźców przez rzekę i wrócimy do domu.

Nakoniec urządzimy wielkie święto na uczczenie zwycięstwa i będziemy się cieszyli, żeśmy ukarali złych ludzi za ich nikczemne sprawki.

Tak mówił król i tak się też stało.

Na drugi dzień rano jeźdźcy królewscy wzięli swoje dzidy z ostrzami kamiennymi i swoje topory wojenne i

pojechali w górę rzeki. Musieli jechać cały długi dzień i noc, i jeszcze jeden dzień, aż przybyli do miejsca, gdzie rzeka była tak wązka, że można było przejechać. Potem jechali w dół rzeki, do wioski złych ludzi.

Gdy ci dowiedzieli się, że jeźdźcy królewscy, nadjeżdżali wzięli i oni swoje dzidy z kamiennemi ostrzami i swoje topory wojenne, i wyjechali z wioski na przeciw, szydząc z jeźdźców królewskich i przechwalając się, że ich pozabijają i wrzucą do rzeki.

Nie uważali jednak źli ludzie, co tymczasem działo się za ich plecami.

My zaś wiemy, że to Strzałka z pozostałymi ludźmi króla przejechał na dwudziestu łódkach przez rzekę. Gdy wyszli na ląd i przeszedłszy las, wpadli do wioski złych ludzi, oswobodzili uwięzionych, a także ojca, matkę i siostrę Strzałki, potem zapalili wioskę i wrócili na łódki.

Źli ludzie, widząc, że się ich wioska pali, myśleli, że jeszcze inni nieprzyjaciele, oprócz jeźdźców królewskich,

przybyli do nich. Przelekli się więc bardzo i uciekli.

Tymczasem jeźdźcy wrócili nad rzekę, gdzie czekał na nich Strzałka. Wszyscy zostali przeprowieni na łódkach na drugi brzeg, a konie płynęły za nimi. Potem pojechali do domu, łódki zaś odwieziono do przystani. Strzałka jadąc, opowiadał rodzicom o wszystkim, co się stało od ich rozłączenia i o tem, że król jest bardzo dobry i że będą przez niego gościnnie przyjęci, bo to on nauczył ludzi króla pływać, budować łódki i jeździć niemi po wodzie.

Gdy przybyli, król dał rodzicom Strzałki i ludziom z jego wsi rodzinnej kawał ziemi do uprawy, a że teraz mieszkało więcej ludzi w wiosce króla, więc nie potrzebował obawiać się napaści ze strony złych ludzi.

Po kilku latach Strzałka za to, że był taki rozumny i odważny, że nauczył ludzi budować nawet większe statki i mieszkania, otrzymał córkę króla za żonę. A gdy stary król umarł, królem został Strzałka Wodna. Był dla swego na-

rodu dobry i sprawiedliwy, a źli ludzie nie odważyli się napadać na jego wioskę.

Król Strzałka Wodna i pierwszy wóz.

Jakby to nam było niewygodnie, gdyby nie było na świecie wozów, wozików dziecinnych, powozów, ani wagonów kolejowych, samochodów, rowerów! Nie moglibyśmy wtedy jeździć koleją, co sprawia tyle uciechy. A małe dzieci, nie umiejące dobrze chodzić, nie mogłyby być wożone wózkami i zabierane na przechadzkę do lasu. Musiałyby zawsze zostawać w mieszkaniu, a wtedy i mamusia nie mogłaby się oddalać z domu.

A pomyślmy, jakby to trudno przychodziło budowanie domu! Widzimy nieraz, ile to przy budowie domu przywożą na wozach cegły, bali i desek. Gdyby nie było wozów, to ludzie i zwierzęta musieliby przenosić to

wszystko na swoich barkach, tak jak węglarz przynosi kosz z węglami.

Naturalnie mężczyliby się bardzo tą pracą, a budowa domu trwałaby długo, bardzo długo!

Tak samo przy przeprowadzaniu się z jednego miejsca do drugiego, musielibyśmy sami przenosić wszystkie sprzęty, stoły, łóżka, szafy i naczynia kuchenne. A że to byłoby uciążliwe, więc ludzie woleliby nie zmieniać mieszkania, choćby im tam było niewygodnie.

Na szczęście jednak mamy wozy różnego rodzaju i możemy prowadzić życie przyjemniejsze. Lecz któż to wynalazł pierwszy wóz? Musiał to być pewnie człowiek mądry, tak mądry, jak ten, który pierwszy ujarzmił ogień i ten, który wybudował pierwszą łódkę. Upłynęło już wiele, wiele tysięcy lat, od czasu, kiedy ten człowiek żył, jednak postaram się opowiedzieć jak on zbudował ten pierwszy wóz.

— Wiemy już, że Strzałka Wodna nauczył tych dobrych ludzi, którzy go

przyjęli gościnnie, pływać i jeździć. Za to potem sam został ich królem.

Pewnego razu król chciał w dzień urodzin królowej, swej żony, darować jej coś bardzo ładnego: postanowił zrobić dla niej dużą wygodną łódkę, w której mogłaby dla przyjemności jeździć po wodzie. Posłał więc ludzi do lasu, którzy ścięli wielką piękną jodłę, obciosali jej konary i gałęzie, i przywlekli pień drzewa do wioski, gdzie mieli go wydrążyć i zrobić z niego łódkę dla królowej.

Gdy starsi toczyli ciężki pień drzewa do wioski, przybiegły dzieci, aby zobaczyć, co oni robią. Między temi dziećmi był mały chłopczyk, który nie umiał jeszcze zręcznie biegać, i gdy ludzie popchnęli pień drzewa, biedny malec przewrócił się, a ogromny kłoc potoczył się po jego nogach, łamiąc mu je w stawach. Malec rozplakał się z bólu nadbiegli rodzice, zabrali go do domu i położyli do łóżka. Bardzo długo chłopczyk chorował, a gdy wyzdrowiał okazało się, że nie mógł stać

na nogach, ani też chodzić. Mógł tylko siedzieć lub czołgać się.

Gdy król Strzałka usłyszał o tem, poszedł zaraz do biednego dziecka i jego rodziców, pocieszał ich, i dał chłopcu dużo winogron i jabłek. Mówił, że było mu bardzo przykro, bo to on był winien temu, iż chłopca spotkało nieszczęście, gdy kazał ściąć drzewo, aby dla królowej zrobić łódkę. Król zaczął rozmyślać, coby można było zrobić, żeby wynagrodzić krzywdę biednemu dziecku i jego rodzicom.

Wtedy królowa rzekła do niego.

— Wiesz co? Zrobimy dla małego chłopca ładną łódkę, na której będzie mógł całemi dniami pływać po wodzie, ponieważ nie może chodzić.

Podobało się to królowi, i kazał zrobić śliczną łódkę dla nieszczęśliwego chłopca, a do tego ładne wiosła, i darował to kalece.

Biedny malec ucieszył się tym подарunkiem, wsiadł do łódki i wkrótce nauczył się doskonale pływać po wodzie.

Niezadługo jednak znudziło mu się takie jeżdżenie całymi dniami po wodzie. Nie miał tam przecie towarzyszków zabaw, więc pływanie ciągle samemu nie mogło mu się podobać. Spostrzegł to król i pomyślał sobie:

— Ach, żeby to ten statek mógł tak dobrze posuwać się po lądzie, jak i po wodzie! Możliaby w nim wtedy jeździć po ziemi.

Postanowił więc spróbować jeździć łódką po lądzie; kazał przyjść kilku dużym chłopcom ze wsi: musieli oni przywiązać powrozy do łódki i ciągnąć ją. Ciągnęli więc łódkę z kulawym chłopcem po ziemi, ale szło im to bardzo ciężko i męczyło ich bardzo. Nie było to żadną przyjemnością ani dla nich, ani dla malca. Ma się rozumieć, że nie była ta jazda tak ładną, jak teraz, gdy małe dzieci wożą w wózekkach.

Dużym chłopcom sprzykrzyła się prędko ta robota, więc odbiegli od łódki z kulawym dzieckiem i woleli skakać po nagromadzonych okrągłych klocach, z których miano właśnie budować

chatę. Wdrapali się na wierzeh stosu, położyli tam deskę i huścali się.

Naraz obsunęły się kłoce i chłopcy spadli z huścawki. Dwa kłoce potoczyły się dosyć daleko, aż do łódki, w której siedział chłopczyk kulawy i przypatrywał się zabawom dzieci. Żeby sobie zażartować, chłopcy wciągnęli łódkę na te dwa kłoce i poruszali ją po nich naprzód i w tył. Szło to o wiele łatwiej, niż wtedy, gdy ciągnęli łódkę po ziemi; po okrągłych utoczonych kłocach ślizgała się ona łatwo naprzód i w tył, i wyglądała już prawie, jak wóz.

Właśnie król Strzałka Wodna siedział przed swoją chatą (wtedy przed tysiącami lat nawet i królowie mieszkali w prostych chatach) i przypatrywał się chłopcom. Ucieszył się z zabawki, jaką oni sobie zrobili, tocząc łódkę podwóch poprzecznie leżących kłocach. Wstał, podszedł i kazał położyć dziesięć kłoców wpoprzek, w niewielkiej odległości od siebie, i po nich toczyć łódkę. Tak też zrobiono, i kula-

wy chłopczyk cieszył się, że jedzie prędko tam i napowrót.

Ale ta przyjemność nie mogła długo trwać. Nadeszli cieśle, zabrali kłoce do roboty chaty i skończyła się dla kaleki jazda tym wozem.

Ponieważ biedak nie mógł ani biegać, ani chodzić, musiał ciągle pozostawać w domu. Strugał więc sobie różne zabawki i wystrugał także dla przepędzenia czasu małą łódeczkę, a oprócz tego małe okrągłe klocki, które układał obok siebie; po nich toczył swój mały statek tak samo, jak chłopcy toczyli z nim duży statek.

Podobnie jak do łódki, strugał on sobie różne pudełeczka czworokątne i okrągłe, do których robił pokrywki także okrągłe. Raz w okrągłej deseczce zrobił otwór i włożył wń owalny patyczek. Potem nałożył na drugi koniec patyczka drugą okrągłą deseczkę, a pomiędzy niemi na drążku umocował łódkę.

To był zatem pierwszy prawdziwy dwukołowy wóz. Tylko mały chłopczyk

nie mógł nim jeździć, bo wóz był za mały i zrobiony tylko do zabawy.

Kiedy jednego dnia król przybył do chaty kulawego chłopca, zobaczył ten mały dwukołowy wózek.

— Doskonale! — zawołał, — oto jest to, czego długo i napróżno szukałem. Wynalazłeś, chłopcze, wóz! A teraz niech sześciu ludzi weźmie swoje kamienne siekiery i młoty, niech zetną drzewo, zrobią z niego dużą skrzynię i dwie duże okrągłe tarcze, które nazwiemy kołami, bo się prędko kręcą naokoło. Z tych kół i skrzyni zrobimy duży wóz, w którym ty będziesz jeździł, mój chłopcze!

Jak król powiedział, tak się stało. Sześciu ludzi wzięło swoje narzędzia do pracy, ścięli w starym lesie drzewo, ociosali je, porznęli na deski i przygotowali z nich skrzynię, podobną do łódki, w której można było siedzieć. Z pozostałej części okrągłego pnia wycięli przy pomocy piły kamiennej dwie duże okrągłe tarcze, wydrążyli w nich otwory, i koła te umocowali na koń-

each drąga, który nazwali osią. Potem jeszcze umocowali po stronie każdego koła kołki, ażeby koło nie zleciało i żeby się kręciło naokoło osi. Nakoniec przytwierdzili skrzynię do osi i zrobili drąg do ciągnięcia wozu. Kulawy chłopczyk usiadł w skrzyni, a inni chłopcy próbowali go ciągnąć; szło to teraz bardzo łatwo!

— Przepysznie! — zawoła król, ciesząc się, że wóz się potoczył, czego dotąd jeszcze nigdy nie widziano. Każdy chciał przejechać się tym wozem, więc pojechał najpierw król, a potem inni, wprzód starsi, potem młodsi.

Kulawego chłopca nazwali swoim wynalazcą, bo to on wynalazł wóz. Wiemy, że trudnoby mu było wynaleźć wóz, gdyby pień drzewa nie zmiażdżył mu nóg, gdyby król Strzałka nie wynalazł łódki i gdyby chłopcy nie toczyli tej łódki po okrągłych klocach!

Ludzie króla Strzałki zrobili teraz dużo wozów, żeby każdy miał swój własny. A gdy nie mieli w polu roboty, zaprzęgali do wozów konie i jeździli

dla przyjemności. Wprawdzie koła trzeszczały i skrzypiały, bo jeszcze nie używano smarowidła, ale uszy ludzi dawnych czasów były w stanie znieść takie odgłosy.

Wkrótce jednak zauważyli ludzie coś całkiem nowego. Gdy długo jeździli, wtedy oś wozu rozgrzewała się bardzo, a raz nawet zapaliło się drzewo tam, gdzie koło obracało się naokoło osi.

Wtedy poznali ludzie, że ogień ten powstał z przyczyny, iż drzewo koła tarło się o drzewo osi.

Spróbowali w taki sam sposób rozniecić ogień. Wzięli deskę, zrobili w niej otwór i kręcili w tym otworze twardym drążkiem drewnianym. A gdy jeden człowiek znieczył się, zastępowali go inni, tak, że w niedługim czasie uczuli, iż drzewo tarte rozgrzało się. Wtedy włożyli trochę trocin do otworu i tarli dalej. Trociny zaczęły się tlić a wkrótce wybuchł jasny ogień w otworze deski.

W ten sposób, wraz z wynalazkiem wozu, zrobili ludzie jeszcze i inny wynalazek: nauczyli się rozniecać ogień przez tarcie, podczas, gdy dotąd umieli to robić tylko przy pomocy uderzenia jednego krzemienia o drugi.

Długi czas ludzie króla Strzałki Wodnej żyli spokojnie i przyjemnie; ale jak wiemy, nie byli oni sami na świecie. Już przedtem była mowa o złych ludziach, którzy napadali na dobrych ludzi, ale zostali wypędzeni z całej okolicy. Dobrzy ludzie, którzy zrobili pierwszy statek i wóz, i wynaleźli rozniecanie ognia przez tarcie, myśleli, że wszyscy ludzie, którzy żyją na ziemi, są dobrzy. Dlatego nie otoczyli swojej wioski silnym murem, nie myśleli, że nieprzyjaciół może napisać i nie strzegli się wcale. Musieli potem za to dużo złego przecierpieć. A stało się to tak:

Ponieważ teraz mieli już łódki i wozy, ludzie króla Strzałki zapragnęli poznać trochę świata. Jedni popłynęli na swoich łódkach przeciw prądowi rzeki

i przybyli do ludzi, którzy także lubili spokój i zgodę. Wymienili z nimi podarunki, nauczyli ich pływać, jeździć łódką, byli przez nich gościnnie przyjmowani, jedli, pili i śpiewali ze swoimi świeżo poznanymi przyjaciółmi.

Inni ludzie króla Strzałki pojechali na swoich wozach wgląb lądu i przybyli także do przyjaznych im ludzi. Pozwolili im również jeździć na swoich wozach, pokazali im, jak się takie wozy buduje i dostali za to dużo mięsa i skór.

Podczas gdy prawie wszyscy ludzie króla Strzałki opuścili swoje mieszkania i pozostał w domu tylko król, oraz kobiety, starcy i dzieci, przybyli nagle do wioski obcy ludzie. To byli znowu ci źli ludzie, o których już była mowa poprzednio. Tacy źli ludzie nie potrafią pozostawić innych w spokoju, lecz mają przyjemność w tem, żeby niszczyć co inni zbudowali i zabierać ich dobytek.

Tacy więc źli ludzie napadli teraz wioskę króla Strzałki, zabili króla, wy-

mordowali kobiety, starców i dzieci i spalili całą wioskę. Nadeszła noc, a krwawa luna-płomieni, która się pokażała na niebie, mogła być widziana bardzo daleko.

Ludzie zabitego króla zauważyli tę lunę i pośpieszyli na swoich łódkach i wozach do swej wioski, lecz zobaczyli z oburzeniem, że chaty ich są spalone, a kobiety, starcy i dzieci pomordowani.

Wtedy poznali dobrzy ludzie, że źle zrobili, zostawiając swoją siedzibę bez obrony i nieotoczoną murami; wiedzieli, że sami byli winni, iż takie nieszczęście spadło na nich.

— Nie powinniśmy byli tak spokojnie wyjeżdżać na naszych wozach i łódkach — mówili do siebie, — gdyśmy się przekonali o złości i chytrości sąsiadów naszych. A tak ci ludzie stali się silniejsi od nas i wymordowali nasze żony i dzieci, naszych ojców i matki. Teraz pójdziemy i przestrzeżemy innych dobrych ludzi, żeby nie byli tak lekkomyślni, jak my. Opowiemy im, co

się u nas stało i zachęcimy ich, aby z nami poszli na wojnę z tym złym, podstępny ludem jeźdźców.

Tak też zrobili ludzie zabitego króla Strzałki Wodnej. Popłynęli częścią łódkami, częścią wozami do zaprzyjaźnionych sąsiednich wiosek i opowiedzieli im, co się stało. Więc ci sąsiedzi wzięli się do roboty, otoczyli swoje wioski wałami i okopali rowami, a mężczyźni opatrzyli i poprawili swoją broń. Zaraz też pobudowali wozy, na których możnaby stać i rzucać z nich dzidy i strzały, a nakoniec zgromadzili się wszyscy na brzegu wielkiej rzeki. Było ich kilka tysięcy ludzi jadących konno lub na wozach, uzbrojonych w tarcze, dzidy i siekiery wojenne. Potem pojechali w górę rzeki i ze śladów badali, gdzie mogli pójść źli ludzie. Wiele dni byli w drodze, zanim odnaleźli lud nieprzyjacielski, który spalił wioskę ich przyjaciół i zabił ich żony, dzieci i rodziców.

Odbyła się wielka, krwawa bitwa. Dobrzy ludzie zwyciężyli. Walczyli oni

ze swoich wozów wojennych i w ten sposób byli ochronieni od nieprzyjacielskich dzid i strzał; nie mogli też być tak łatwo zranieni w nogi, lub w ciało, bo się chowali w swoje skrzynie. Za to źli ludzie zasłaniali tarczami tylko piersi, a nogi i całe ciało ich nie było osłonięte. To też zostali wkrótce zwyciężeni.

Ludzie na wozach powrócili do swoich mieszkań, obwarowali je jeszcze silniej i postanowili odtąd mieć w nocy stałą straż, żeby źli ludzie nie napadali ich niespodziewanie.

Tym sposobem ludzie jeżdżący na wozach stali się największym i najsilniejszym ludem, jak szeroko i daleko ciągnął się kraj. Prawda, że ci, co pierwsze wozy i łódki pobudowali, już nie żyli, ale ich dzieła i pamięć o nich żyła dalej u ludu, złożonego z dobrych i spokojnych ludzi.

Ogród pszeniczny kulawej Małgorzaty.

Dwadzieścia, albo trzydzieści tysięcy lat temu, alba jeszcze dawniej, żyły dzieci i dorośli ludzie zupełnie inaczej, niż dziś. Dzieci nie chodziły do szkoły i nie uczyły się czytać, pisać i rachować.

Wolelibyście może żyć wtedy, a nie teraz, — nieprawda? Powiecie może, “tak”, ale pomyślcie sobie jakby to było, gdybyście żyli wówczas. Nie chodzilibyście wprawdzie do szkoły, ale też nie mielibyście tyle przyjemności, ile teraz miewacie, ani nie dostawalibyście takiego jedzenia jak teraz np. chleba i bułek na śniadanie.

Dzieci musiały wówczas same szukać sobie pożywienia w lesie lub na polu, zbierać jagody, żołądzie, buczynę, jabłka, gruszki, ziarna zbożowe i tem zaspakajać głód.

Widzicie więc, że teraz jest daleko wygodniej, bo macie chleba i mleka, ile tylko chcecie, i różne przysmaki. Nie było także wtedy wcale obór dla

krów, bo krowy nie były jeszcze oswojone przez człowieka, lecz biegały sobie swobodnie, a nikt nie umiał ich doić.

A czy wy wiecie z czego się robią bułki i chleb, które wam tak smakują rano przy śniadaniu? Z mąki, a mąkę otrzymuje się z czego? Z ziarn zbożowych.

Mąkę przygotowuje młynarz.

Ale kto się przyczynia do tego, że zboże wyrasta na polu z ziemi?

Rolnik! On zasiewa ziarnami ziemię, a z ziarna wyrasta zielony posiew, i powstaje pole zbożowe z obfitym plonem.

- Ale kto najpierwszy na ziemi miał takie pole zbożowe? Nikt już teraz na pewno nie wie, kto to był, więc opowiem wam, co o tem słyszałem.

Przed wieloma tysiącami lat żyli ludzie w jaskini na górze. Stamtąd, w ciągu dnia, mężczyźni dorośli i chłopcy starsi wychodzili na polowanie na niedźwiedzie i zające, a kobiety i dzieci chodziły szukać jagód, owoców i

ziarn zbożowych. Trawy zbożowe, na których rosły ziarna do jedzenia, znajdowały się tu i ówdzie między innemi trawami.

Gdy tak raz kobiety i dziewczęta szukały pożywienia na brzegu lasu, nadszedł wilk i niedźwiedź. Wszystkie kobiety uciekły, ale jedna dziewczynka, Małgorzata, biegnąc szybko upadła i uderzyła się o kamień tak mocno, że nie mogła podążyć za innemi. Dogonił ją niedźwiedź, odgryzł jej kawał nogi i jeszcze byłby ją całą zjadł, gdyby kobiety nieabrały odwagi i nie rzuciły się na niedźwiedzia z zaostrzonemi kijami, któremi zwierzę odeгнаły. Kijów tych używały one do wygrzebywania korzeni z ziemi, albo rozsuwania krzaków.

Kobiety zaniósły dziewczynę do domu i owiązały jej nogę liśmi.

Mała dziewczynka miała odtąd jedną nogę krótszą i kulaa. Nie mogła już chodzić do lasu szukać jagód i ziarn, i musiała pozostawać zwykle na górze w jaskini.

Ale tam na górze, obok jaskini, nie było weale takich ładnych kwiatków, ani nie rosły trawy zbożowe, ani krzewy malinowe, które jej taką przyjemność sprawiały.

Ponieważ teraz bardzo rzadko mogła pójść w dolinę, gdzie rosły trawy i kwiaty, więc gdy raz tam zeszła z góry, wykopała swoim ostrym kijem kwiatki z ziemi i zabrała je na górę i posadziła około jaskini; pielegnowała je, tak, że kwiatki rosły dalej. W ten sposób założyła sobie kulawa dziewczynka najpierwszy ogród kwiatowy

Ludziom jaskiniowym bardzo się to podobało.

Gdy Małgorzata zeszła znowu na dół, przyszło jej na myśl zasadzić w ogródku i trawy zbożowe. Wykopała więc swoim ostrym kijem źdźbła zbóż. Zobaczyła wtedy po raz pierwszy w życiu, że u młodziutkich korzonków wisały łupinki takich samych ziarenek, jak te, które widziała w kłosach dojrzałych. To też pomyślała, że wy-

starczy włożyć ziarna zboża do ziemi, i z nich wyrosną źdźbła.

Jak pomyślała tak wykonała. Zrobiła w swoim ogródku obok jaskini wiele dziurek w ziemi, włożyła w nie ziarenka zboża, przysypała je ziemią i czekała, żeby na to spadł deszcz, a potem przygrzało słońce.

I naprawdę niedługo na to czekała, aby młode zielone roślinki wyszły z ziemi; gdy zaś słońce zajaśniało i przygrzało je, rosły szybko w górę.

To było pierwsze pszeniczne pole, pierwsza rola, uprawiona przez człowieka.

Małgorzata zebrała dużo ziarna zbożowych i już teraz nie potrzebowała schodzić do doliny po to, aby ich szukać wśród innych traw.

Gdy inne kobiety i dziewczyny zobaczyły, że kulawa Małgorzata prędzej zdobyła sobie ziarna zbożowe, niż one same, poszły za jej przykładem.

Tak samo porobiły otwory w ziemi, pokładły tam ziarna, przysypały

je ziemią i czekały na działanie słońca i deszczu.

I ich pola pokryły się wkrótce żdźbłami pszenicy, które miały bogate kłosa. Odtąd nie potrzebowały już schodzić do dolin i lasów, żeby tam szukać ziarn zboża, miały je blisko siebie. Od tego czasu Małgorzata była bardzo lubiana przez ludzi jaskiniowych i szanowana przez wszystkich, tak, że słuchali ją chętnie. Nazywali ją też rozumną Małgorzatą.

Lecz niektóre dziewczęta zazdrościły jej tego, że była tak szanowana i wychwalana, to też dokuczały jej i nazywały ją brzydką kulawą Małgorzatą. Ale ona nie była brzydka, a nawet była ładna i świeża, jak kwiaty z jej ogródka.

Wszyscy ludzie jaskiniowi, którzy naokoło w górach mieszkali, słuchali rozkazów jednego króla. Król ten miał syna i właśnie szukał dla niego żony. Ponieważ ona miała z czasem być królową, więc król chciał aby była piękną i rozumną. Dlatego ubrawszy

się w piękny płaszcz bawoli, chodził sam król ze swoim synem od jaskini do jaskini, żeby poznać wszystkie dziewczęta z okolicy i zapytać się najpiękniejszej i najrozumniejszej, czy zechce wziąć jego syna za męża.

Ale królowi nie podobała się żadna z dziewcząt, bo choć wiele z nich było ładnych, okazywały się niezbyt mądrymi. Naostatek przybył król do jaskini, w której mieszkała Małgorzata. Kobiety i dziewczęta kazały Małgorzacie ukryć się we wnętrzu jaskini, mówiąc jej, że jest tak brzydka, iż król opowiadałby potem wszystkim, jakie w ich jaskini są brzydkie kobiety i dziewczęta. Ażeby nie sprzeczać się i nie kłócić z zazdrosnemi i nieżyczliwemi dla niej towarzyszkami, rozumna Małgorzata ukryła się we wnętrzu jaskini.

Król i jego syn byli bardzo gościnnie podejmowani przez ludzi jaskiniowych. Podano im do jedzenia najpiękniejsze jagody,ajsoczystsze owoce i najsmaczniejsze korzenie, a oprócz te-

go jeszcze pieczone uda niedźwiedzie i smaczny chleb pszeniczny.

Po obiedzie król poszedł na przechadzkę wokoło jaskini, spostrzegł ogródek kwiatowy Małgorzaty i małe, dobrze utrzymane pola pszeniczne. Czegoś podobnego król jeszcze nie widział, to też był tem bardzo zdziwiony i zapytał ludzi jaskiniowych:

— Kto was nauczył tej cudownej sztuki?

— Nauczyła nas tego rozumna Małgorzata — odpowiedzieli mężczyźni, nie zważając wcale na mrugania i znaki, dawane przez kobiety, które nie chciały, żeby król dowiedział się o Małgorzacie.

— Kto jest Małgorzata i gdzie się ona znajduje? — pytał dalej król. — Niechże ją zobaczę! Ta kobieta musi zostać żoną mego syna, jeżeli ona jego, a on ją zechce.

— Miłościwy królu — powiedziały kobiety. — Małgorza jest brzydka i kuleje, a twój syn potrzebuje żony

pięknej, któraby umiała skakać i tańczyć.

— Zawołajcie mi Małgorzatę — przerwał król, — ta dziewczyna nie może być brzydka, nawet choćby była kulawa, skoro was tylu pięknych rzeczy nauczyła. A czy ona kuleje od urodzenia?

— Nie, niedźwiedź poszarpał jej nogę, gdyśmy poszły szukać żywności.

— A więc! Chcę ją widzieć.

Kobiety przywołały przełęknioną Małgorzatę. Król podał jej rękę, popatrzył w oczy i orzekł, że ona jest najpiękniejszą ze wszystkich kobiet i dziewcząt, chociaż trochę kuleje.

Król przebył kilka dni u ludzi jaskiniowych, ażeby jego syn mógł lepiej zapoznać się z Małgorzatą i żeby oboje młodzi ludzie przekonali się, czy będą mogli żyć z sobą. Małgorzata spodobała się synowi króla, i jej także spodobał się syn królewski, więc udała się z nim do jego zamku jaskiniowego i została jego żoną.

A ogródek kwiatowy i pole pszeniczne uprawiała także i tutaj naokoło swej jaskini królewskiej

Wynalazca pługa.

Ludzie jaskiń górskich nauczyli się uprawiania roli niedaleko od swoich mieszkań i zasiewania jej kwiatami i zbożem. Lecz i do ich kraju przybyli źli ludzie. Pozabijali oni wielu mieszkańców i ciągle napadali na ich siedziby, tak, że ludzie jaskiniowi nie mogli się już odważyć pójść na łowy, a ich żony i córki obawiały się chodzić do lasu po buczynę, jagody i korzenie. To też nie mieli co jeść.

W końcu król ich oznajmił wszystkim rodzinom, aby pozabierały ze sobą co mają najlepszego i udały się z nim do innego kraju, gdzieby im było bezpieczniej. Widząc, że nie potrafią obronić się od nieprzyjaciół, ludzie jaskiniowi zabrali wszystkie rzeczy, nie za-

poniawszy nasion pszenicy, i wywędrowali ze swoim królem.

Ciągnęli przez góry i lasy, poranili sobie nogi od ciągłego chodzenia, i cierpieli wiele od upału i pragnienia. Biedne małe dzieci nie mogły nadążyć, tak, że starsi nieśli je na plecach. To też dorośli i dzieci zmęczyli się bardzo. Musieli jednak jeszcze wędrować, by jak najdalej być od złych napastników.

Nareszcie znaleźli dogodne miejsce do osiedlenia się. Nie było tam wprawdzie żadnych gór, ale dużo strumieni przepływało przez bujne łąki, otoczone lasem, i nikt tu nie mieszkał.

Ponieważ nie było tam jaskiń, więc przybysze pobudowali sobie małe chaty z pni drzewnych, obawiając się zaś napadu nieprzyjaciół, pobudowano chaty obok siebie. Z tego utworzyła się duża wieś.

Nie znaleźli wprawdzie ci ludzie dużo pożywienia w tym kraju, ale pocieszali się tem, że będą uprawiać pszenicę i jeść jej ziarna. Dotąd było to

dla nich rozrywką siał ziarna pszenicy, bo nie potrzebowali wyłącznie tem się żywić, wystarczało uprawić mały kawałek ziemi. Teraz jednak, kiedy zamieszkiwali w nowym kraju, gdzie mieli mało zwierzyny, trzeba było uprawić większy kawałek roli. Było to jednak bardzo ciężką pracą robić tak dużo małych otworków w roli i wysypywać tam ziarna.

Ale potrzeba jest matką wynalazków.

Ludzie długo myśleli jak poradzić sobie, w końcu jeden człowiek ułamał z drzewa dwie gałęzie, które razem tworzyły takie zgięcie, jak np. części nogi w kolanie. Jeden koniec gałęzi zaostrzył, a ciągnąc koniec drugi, wyrzucił nim rowek na długim kawale ziemi; nasypał wń ziarna, a potem gałęzią zakrył go ziemią.

To był najdawniejszy kształt pługa. Dzisiaj na tej zaostrojonej części gałęzi znajduje się ostra żelazna łopata, która ziemię rozcina i odrzuca na bok. Pewnie widzieliście iak pług orze zie-

mię, gdybyście chodzili na przechadzkę w pole?

Tym sposobem ten człowiek mógł prędzej zorać ziemię i zasiać ziarno. Gdy to inni zobaczyli, zaczęli go naśladować, tak, że w końcu cała wieś mogła mieć duże pole pszeniczne i już nie obawiali się ludzie głodu.

Wdzięczny pies.

Najwięcej jest na świecie zwierząt żyjących na wolności: w lesie, w polu, w wodzie, w zagłębieniach ziemi i w górach zdala od mieszkań ludzkich.

Tylko nieliczne zwierzęta są przyjaciółmi i towarzyszami człowieka. Należy do nich przedewszystkiem pies.

Nie zawsze jednak pies był przywiązany towarzyszem człowieka. Przed wieloma tysiącami lat żył on tak, jak teraz lis i wilk, to jest jak dzikie zwierzę. Dopiero ludzie oswoili go i nauczyli pilnować domu i szczekać na ob-

cych i złych ludzi, którzy się do domu zbliżą.

Tak jak nie wiemy dokładnie, kiedy wynaleziono pierwszy wóz, pług i t. p., również nie możemy napewno wiedzieć, kto i kiedy pierwszy ośwoił psa. Stało się to zapewne przed wieloma tysiącami lat, a co o tem słyszałem, opowiem wam tutaj.

Przed wieloma tysiącami lat żyły raz na brzegu starego lasu dwie rodziny. Ich chaty były tak od siebie oddalone, że nie widziało się jednej chaty od drugiej. Mężczyzna, który ze swoją żoną i dzieckiem żył w jednej z tych chat był jeszcze bardzo dziki. Zabijał on zwierzęta, nie tylko dlatego, aby je zjeść i zaspokoić głód, lecz i dla samej przyjemności zabijania. Gdzie tylko w polu, lub też w lesie spotkał jakie zwierzę, zaraz je mordował, chociaż było to nawet milutkie, niewinne stworzenie.

Zupełnie innym był pewien człowiek, który żył z żoną i dziećmi w drugiej chacie. On zabijał zwierzęta wtedy tylko, gdy był bardzo głodny, i gdy nie

mógł znaleźć żadnego innego pożywienia. Ale gdy był syty, nie robił nic złego żadnemu zwierzęciu. Brał nawet nieraz ze sobą do domu młode zwierzątka, które jeszcze nie umiały chodzić, dawał im jeść, żeby nie umarły z głodu i był dla nich bardzo litościwy i dobry.

Lecz gdy te zwierzęta urosły, uciekały znowu na swobodę, gdyż to podobало im się lepiej, niż zostawanie u człowieka w niewoli, nawet przy najlepszym pożywieniu.

Zdarzyło się raz, że ów pierwszy zły i okrutny człowiek, poszedłszy do lasu na łowy, znalazł legowisko młodych zupełnie piesków. I znów choć już był syty i już dosyć upolował dzierzyny, chciał zaraz zabić małe szczeniátko.

Nagle nadszedł dobry człowiek i zabronił tamtemu zabijać je. Zły człowiek rozgniewał się i nawet chciał się rzucić na dobrego człowieka, ale, że nie był tak silny i zręczny jak tamten, więc odszedł.

A dobry człowiek wziął wtedy małe pieski ze sobą do domu, karmił je i wychowywał. Gdy pieski urosły, nie zrobiły tak, jak inne zwierzęta i nie uciekły do lasu, lecz pozostały, bo się bardzo przywiązały do swego pana. Bawiły się z jego dziećmi, chodziły z nim na polowanie, przychodziły do niego, gdy zagwizdał i przyuczyły się słuchać każdego jego słowa. Gdy jaki dziki zwierz lub obcy człowiek się zbliżył, szczekały głośno, skakały na niego i mogłyby go pokąsać, gdyby ich pan nie przywoływał.

Zły i okrutny człowiek z drugiej chaty na brzegu lasu nie odwiedzał przez cały rok uprzejmego, dobrego sąsiada i nie wiedział, że w chacie dobrego człowieka wychowały się wierne psy. Pewnego dnia powziął zamiar zabić dobrego człowieka, jego żonę i dzieci. Chciał sam mieszkać w tej okolicy, żeby mieć dla siebie jak najwięcej zwierzyny. Ale w dzień obawiał się napadu. Dla tego też czekał, aż nadeszła noc i księżyc wysyłał swoje blade sreb-

rzyste światło poprzecz wierzchołki drzew.

Wtedy zły człowiek wybrał się w drogę. Wziął on z sobą ostrą i ciężką siekierę kamienną, które chciał rozplatać głowę dobremu człowiekowi.

Cicho podkradał się przez krzaki na brzegu lasu. W chacie dobrego człowieka spali wszyscy: ojciec, matka i dzieci. Nikt nie słyszał, jak się zły człowiek podkradł.

Ale nagle psy śpiące na progu chaty zaczęły szczekać i ujadać zaciekle. Obudził się wtedy dobry człowiek i jego żona. Tymczasem wierne psy rzuciły się na złego człowieka i pokąsały go, chociaż bronił się siekierą kamienną.

Dobry człowiek, widząc, że psy same nie poradzą, uzbroił się w dzidę i odpedził napastnika, tak, że ten więcej nie odważył się zbliżyć do chaty dobrego człowieka, bojąc się dziarskich zwierząt.

Dobry człowiek pogłaskał wierne psy i polubił je jeszcze bardziej, gdyż one uratowały go od śmierci. Więc

cieszył się bardzo, że potrafił wycho-
wać sobie takich stróżów przyjaciół.

Niedługo potem zdarzyła się wielka
powódź w całej okolicy. Rzeka rozlała
bardzo daleko. Gdzie przedtem był su-
chy ląd, teraz stało wszystko w wo-
dzie. Chatę dobrego człowieka zalała
woda nagle w nocy, tak, że byliby
wszyscy utonęli, gdyby nie czujne psy.
Woda dostawała się już do chaty, a
śpiący ludzie nie zauważyli tego, bo nie
leżeli na podłodze, lecz na wysokich
drewnianych ławach. Ale psy poczuły
wodę, zaczęły szczekać i wyć przeraźli-
wie, tak, że obudziły ludzi.

Pobiegli wszyscy, ludzie i psy na naj-
bliższe wzgórze, gdzie woda nie mogła
dosięgnąć, a następnego dnia poszli da-
lej, aż do miejsca, gdzie mieszkali inni
ludzie. Tam osiedli na stałe i nauczy-
li tamtejszych ludzi, jak trzeba oswa-
jać psa, schwytawszy go za młodu i
wychowując go.

Od tego to czasu spotykamy już
dużo psów, jako stróżów domowych
i obrońców człowieka we wszystkich
chatach wieśniaczych i zabudowaniach

gospodarskich. Gdy obcy ludzie nadchodzą, psy szczekają, czy ci ludzie są źli, czy dobrzy. Szczekając, dają one znać swemu panu, że przyszli obcy ludzie.

Jeszcze i inną przysługę oddawały psy ludziom: gdy ci chodzili na polowanie na niedźwiedzia lub zającą, na sarnę lub jelenia, to i wtedy oswojone psy biegły z nimi, pomagały im w polowaniu, goniąc albo napędzając im dziką zwierzynę. Tak więc pies był najpierwszem pożytecznem zwierzęciem domowem.

Powiastka o małej mleczarce.

Raz był cudny dzień majowy. Mężczyźni z całej wioski wyszli na polowanie, żeby dostać pożywienia dla całej rodziny. Zabrali z sobą starszych chłopców i psy. Tymczasem kobiety uprawiały małe pola w pobliżu chat: robiły zgiętą zaostrzoną gałęzią, która im zastępowała pług, rowki w zie-

mi, i w nie sypały nasiona. Nie umiano jeszcze wtedy zaprzęgać konia lub wołu do pługa. Tego nauczyli się ludzie o wiele później. Nie było też w tej wiosce obór, bo krów nie umiano hodować.

Dziś, jak wiecie, w każdej wiosce są obory, w których doją krowy, a mleko stanowi smaczne pożywienie; z niego robią też masło, ser i śmietanę. Dawniej tego nie znano.

— Tego dnia, o którym wyżej mówiliśmy, dzieci bawiły się w chowanego przed chatami, a gdy się zmęczyły, kładły się na trawie i wypoczywały. Naraz z brzegu lasu nadbiegło małe milutkie cielątko becząc żałośnie. Jego matkę, krówkę, pożarły wilki, a małe cielątko uciekając, natrafiło na gromadkę bawiących się dzieci.

Dzieci nie wiedziały, dlaczego cielątko beczało, więc zaczęły się z niem bawić, a że to były małe i niemądre dzieci, były więc zwierzątko, drażniły się z niem, a gdy ono chciało uciec, dopędziły je i znowu były.

Zwierzęta nie umieją płakać, jak człowiek, wtedy, gdy go co boli. I cielątko także nie płakało, chociaż bardzo cierpiało, gdy dzieci uderzały je ostremi kamieniami po grzbiecie.

Ale jedna mała dziewczynka, o jasnych kręących się włosach i łagodnych niebieskich oczach, odezwiała się do swych towarzyszek:

— Pfe, nie trzeba tak męczyć zwierzątka. Przecie to je boli. Wiecie co? Lepiej zrobmy mu legowisko i chatkę, będziemy mu dawać jeść, żeby się u nas zostało i żebyśmy mogli się niem bawić.

Dzieciom podobała się ta myśl, zaprzestały bić i gnać cielątko i zgodziły się na to, co dziewczynka radziła. Przyniosły zaraz trawy i kwiatów, nałamały grubych gałęzi w zarosłach, powkładały je w ziemię i zgięły górne końce tak, że powstała jak by mała chatka lub altanka. Tam wpędziły małe cielątko i dawały mu jeść.

Gdy nadszedł wieczór i mężczyźni wrócili z łowów, poszło każde dziec-

ko do swojej chaty i nikt nie zatroszczył się o cielątko. Tylko mała dziewczynka pamiętała o niem. Przygnała zwierzątko do swojej chaty i chciała je wprowadzić do izby. Ale ojciec rozgniewał się i nie chciał na to zezwolić. Dziewczynka prosiła ojca, żeby nie bronił jej tego, a że ona była zawsze bardzo dobra i miła, więc ojciec przystał na jej prośbę. Noc była zimna i cielątko byłoby zmarzło na dworze, bo nie miało matki, do którejby się przytuliło, aby się ogrzać.

Na drugi dzień ojciec dziewczynki zrobił małą chatkę, już nie z gałęzi, a z kłoców drewnianych, położył na ziemię trochę trawy i to była stajenka cielątka. Ono spało tam w nocy, a w dzień dziewczynka wyprowadzała je na łąkę i tam pasła. Cielątko rosło, polubiło bardzo swoją panią i nie uciekało do lasu, tylko ciągle za nią chodziło. W końcu dostało cielątko rogów i stało się krową.

Jednego dnia przyszło na myśl dziewczynce przymocować postronek do rogów krowy i przywiązać ją do pługa,

żeby go ciągnęła. Krowa poszła, a gdy chciała trochę zejść z brózdy, dziewczynka uderzała ją lekko długim prętem i w ten sposób krowa przyzwyczaiła się do prostego ciągnięcia pługa.

Gdy inne kobiety ze wsi spostrzegły, jak nasza dziewczynka prędko zorała ziemię z pomocą krowy, prosiły swoich mężów, aby i oni schwytali na łowach krowy i woły, albo cieleta. Przyprowadzić duże krowy i woły nie było rzeczą tak łatwą, ale mężczyźni przynieśli cieleta; kobiety pobudowały im zaraz obory, a potem, gdy dorosły, przyuczyły je ciągnąć pług.

I znowu ludzie nauczyli się czegoś innego i pożytecznego. Odtąd udawała im się uprawa roli o wiele lepiej i prędzej.

Ale dziewczynka, której zawdzięczano takie odkrycie, wynalazła jeszcze coś więcej. A to stało się tak. Gdy raz mieszkańcy wioski przyszli z polowania, opowiedzieli przestraszeni, że widzieli z wysokości, jak obcy ludzie osiedlili się w sąsiedniej dolinie i że

dużo uzbrojonych wojowników przygotowywało się do napaści na ich wioskę. Nieprzyjaciół było wielu a byli to sami silni mężczyźni, zaś ich wioska miała bardzo mało ludzi. Taka garstka rzadko kiedy obroni się przeciw większej sile, chyba wtedy, jeżeli mają dobrze zabezpieczone obronne stanowisko, albo lepszą i wytrzymalszą broń.

Obawiając się napaści, ojciec dziewczynki i inni mężczyźni, postanowili opuścić jak najprędzej tę okolicę i zamieszkać gdzieindziej, gdzieby im było bezpieczniej.

Wszystkie więc rodziny, zabrawszy krowy i woły, udały się w drogę, zanim jeszcze nadejbrali nieprzyjaciele.

Wędrowcy nasi przechodzić musieli przez okolicę bardzo nieurodzajną. Nie było tam wcale lasów, więc nie można było znaleźć ani jagód, ani owoców. Tylko bujne trawy rosły wszędzie; krowy więc i woły miały zawsze smaczne pożywienie; ludzie jednak byli głodni.

Dziewczyńce, właścicielee pierwszej krowy, przyszedł raz do głowy pewien rozumny pomysł i opowiedziała go ojcu.

— Wiesz, ojeze, co? Krowa ma wymię tak pełne mleka, czybyśmy więc nie mogli spróbować zabrać jej to mleko i pić je?

— Prawda, — odrzekł ojciec — spróbujmy!

Ale gdy zbliżył rękę do wymienia krowy, ta odepechnęła go tak silnie, że upadł. Przestraszony nie chciał drugi raz próbować. Wtedy dziewczynka zamysliła się i powiedziała.

— Wiesz, ojeze, musimy tej krowie wpierw związać rogi z nogami. Wtedy nie będzie mogła ani uciec, ani bóść, a my będziemy mogli spokojnie wycisnąć mleko z jej wymion.

— Dobrze, zrobmy to — rzekł ojciec.

To mówiąc wziął postronek i przywiązał krowie rogi do nóg, potem już łatwo wycisnął mleko z jej wymienia. Nazwali tę robotę dojeniem. A mleko smakowało im nadzwyczaj.

To samo robili i inni ludzie, tak, że teraz nie potrzebowali już więcej cierpieć głodu i pragnienia, gdy droga ich prowadziła przez kraj nieurodzajny.

Powoli przyzwyczaiły się krowy do tego, że doiono je bez związywania rogów i nóg, i od tego czasu ludzie żyją także mlekiem krowiem, i robią z niego masło, ser, mleko kwaśne i śmietanę.

Ojciec dziewczynki i reszta mężczyzn i kobiet ze swojemi dziećmi, krowami, cielętami, wołami i psami przyszli po kilku dniach podróży znowu do urodzajnej okolicy, gdzie były lasy i woda, jagody i buczyna, pszenica i różne owoce. Tam postavili sobie chaty i żyli jeszcze szczęśliwiej, niż dotąd. Byli teraz radzi, że źli ludzie zmusili ich do opuszczenia tamtejszej wioski. Gdyby nie ta obawa, nie byliby się nauczyli doić krowy i pić mleko. Na tę myśl wpadli dopiero wtedy, gdy po drodze doznali głodu.

Widzimy więc, że i złe ma swoje dobre strony. Na razie wydaje się ono

nieszczęściem, a nieraz poza niem kryje się szczęście. Dla tego nie trzeba nigdy w nieszczęściu tracić otuchy. Trzeba zawsze pomyśleć, że nieszczęście poprzedza szczęście. I trzeba zawsze myśleć o tem, żeby inne istoty czynić szczęśliwemi, tak ludzi, jak i zwierzęta.

Widzimy tu naprzykład: dzieci mężczyły cielátko, gdy ono straciło matkę i z lasu przyszło do wioski. Tylko ta jedna dziewczynka ujęła się za niem, wzięła je do siebie, wychowywała i uczyniła szczęśliwem. A zato potem zwierzę pomogło jej ciągnąć pług i przyzwyczaiło się oddawać jej swoje mleko.

Gdyby i ta dziewczynka znęcała się nad cielátkiem, nie byłoby ono urosło, a potem krowa nie ciągnęłaby pługa i nie dawała mleka, gdy przechodzono przez puste stepy, gdzie tylko trawa i ziele było, ale brakowało pożywienia dla ludzi.

Bądźcie więc życzliwi i dobrzy dla wszystkich stworzeń, ludzi i zwierząt, bo one nie chcą wam zrobić nic złego,

a tylko dać nam z siebie wszelki pożytek!

O zwierzętach domowych używanych do pracy.

Był raz jeden mały chłopczyk, który chciał wszystko wiedzieć. Chciał on się też koniecznie dowiedzieć, czemu niektóre wozy jadą, chociaż się do nich nie zaprzęga koni, ani nikt ich z tyłu nie popycha.

— Powiedz mi, ojezulku, — mówił raz — dla czego pociąg kolei porusza się, choć nikt go nie popycha, jak np. mamusia wózek dziecinny, ani go konie nie ciągną, jak na przykład wóz z węglami lub mlekiem?

— Mój synku, to dlatego, że zamiast konia u wozu, jest przy pociągu maszyna parowa, lokomotywa, a w niej wytwarza się siła, która ciśnie na koła i obraca je, wtedy porusza się ta lokomotywa i ciągnie cały pociąg do niej przymocowany.

—Tatku, — pytał dalej chłopczyk — a jaka to siła?

— Wytlómaczę ci to, gdy pójdziemy na przechadzkę — odpowiedział ojciec.

Popołudniu poszedł chłopczyk z ojcem przez pole. Po drodze spotkali mały wózek z mlekiem, ciągniony przez psa. Pies miał na sobie uprząż ze skórzanych rzemieni; ciągnąc, wytężał całe swoje siły, a tak bardzo był zziębnięty, że język wywiesił dla ochłody. — Ojciec odezwał się do syna:

— Czy widzisz tego psa? On nie może biegać sobie swobodnie, gdzie mu się podoba, lecz musi chodzić w zaprzęgu i ciągnąć wózek. Przed wieloma tysiącami lat pies mógł biegać i skakać, jak mu się tylko podobało. Żaden człowiek nie nakładał na niego uprząży, ani nie zmuszał go do tego, aby ciągnął wóz. Gdy ludzie psa o-swoili, nauczyli go tylko stróżować domu i uważali go za przyjaciela. Dopiero dużo później, ludzie zobaczywszy, jaką siłę pies ma w nogach i

grzbiecie, popróbowali użyć go do ciągnięcia małych wózków.

Ale patrz tam dalej! Oto jedzie wóz zaprzężony końmi. Przed tysiącami lat żaden koń również nie potrzebował ciągnąć wozu. Wszystkie konie biegały swobodnie po polach, mogły skakać i gonić się. Żaden człowiek nie zmuszał ich do swoich usług. Dopiero potem nauczyli się ludzie nakładać koniom uprzęż z rzemieni skórzanych i zaprzęgać je do wozu. A teraz muszą konie chodzić zawsze w uprzęży i nie mogą biegać i skakać na swobodzie. Siła konia została zastosowana do ciągnięcia ciężarów.

Popatrz teraz na te woły w pługu.

Czy wiesz teraz chłopcze, co to jest siła?

To jest coś, co wprawia w ruch jakąś rzecz, która wtedy przebywa jakąś drogę. Siła koni i psów wprawia w ruch wozy; konie i woły poruszają pług. Tak więc siły są na usługach człowieka, a siłami temi są jego zwierzęta domowe. Przedtem żyły one

dziko w lesie, teraz są poskromione i dają się kierować.

Lecz jest jeszcze więcej sił, z których człowiek uczynił jakby swoje zwierzęta domowe. Przedewszystkiem siła pary, o którą mnie dzisiaj zapytywałeś. Gdy siłę pary ubierzemy w uprząż z żelaza, jak to widzisz u lokomotywy, wtedy może ona ciągnąć cały pociąg.

Jak pies, koń, lub wół, tak i siła pary ciągnie wóz i szereg wozów, do których jest zaprzężona. Pies, koń i wół zaprzężone są do wozu przy pomocy skórzanych rzemieni, lub postronków, a siła pary zaprzężona jest w postaci żelaznej maszyny z dużymi drągami przy kołach, i to nazywamy lokomotywą.

W lokomotywie, mój chłopcze, jest żelazny kocioł z wodą, a pod nim pali się ogień. Woda się ogrzewa i wytwarza się para, która wchodzi do żelaznej ruty; w rurze zaś jest tłok, który może się poruszać tam i napowrót. Tłok połączony jest z kołem lokomotywy i gdy go para poruszy, on koła

obraca. W taki sposób porusza się lokomotywa po szynach i ciągnie za sobą cały pociąg, który jest przyczepiony do niej łańcuchami.

Lokomotywa ma pewne podobieństwo z psem, koniem i wołami. Ona wyrzuca kłęby pary, ale i pies, koń lub wół zieją także parą z pyska lub całego ciała, jeżeli przedtem bardzo prędko biegły. W zimie widzi się to szczególnie dobrze. Zwierzęta więc pociągowe o czterech nogach, jak i maszyny, które mają koła, wytwarzają w swoim ciele ciepło. Może teraz zrozumiesz, co ci mówiłem, że możemy nważyć lokomotywę, lub siłę pary, jakby za wielkie, bardzo silne zwierzę domowe.

Jest jeszcze jedna siła, która oddaje człowiekowi te same usługi, co pies, koń lub wół. — Jestto elektryczność. To jest siła, która znajduje się w tych wozach, poruszających się jakby bez żadnej pomocy, w samochodach, albo która przebiega wzdłuż drutów poumieszczanych ponad koleją elektryczną.

I elektryczność jest siłą, ujętą w żelazną uprząż, np. w szyny i druty kolei idącej przez ulicę.

Elektryczność zawsze istniała, ale była znana tylko w naturze. Była np. błyskawicą, świecącą w czasie burzy. Mądrzy ludzie nauczyli się otrzymywać ją sztucznie, tak jak przyswoili psa, konia i wołu. Elektryczność wytwarza się w maszynach, a widzisz ją wtedy, gdy z drutu, lub między kołem a szyną wyskakują iskry.

A więc pies, koń, wół, siła pary i elektryczność, to są wszystko siły pociągowe, wytwarzające ciepło, wszystkie, jakby zwierzęta domowe, służą człowiekowi.

Tylko para i elektryczność nie są ciałami żywymi, nie są zwierzętami, które czują ból i radość, jak pies, koń, lub wół. Ale para i elektryczność, lokomotywa i wóz elektryczny są tak samo w służbie u człowieka i wykonują mu pracę, jaką on swoim rozumem każe im wykonywać.

O wynalazcy kolei żelaznej.

Żył raz pewien bardzo ubogi chłopiec nazwiskiem Stephenson (Stefenzon). Nie miał on nigdy masła do chleba, a czasem musiał iść spać bez wieczerzy, chociaż jego żołądek bardzo się o nią dopominał. Na obiad nie dostawał ani mięsa, ani owoców, tylko kartofle i zupę, która nie zawsze mu smakowała. Nie miał żadnych ładnych zabawek, a nawet nie miał czasu bawić się z innymi chłopcami, gdyż pomagał w pracy swoim rodzicom. Chociaż był jeszcze bardzo mały, musiał u innych ludzi paść gęsi i krowy. Za to dostawał nędzne jedzenie i trochę pieniędzy. Nie kupował jednak za nie cukierków, ani bąka, któryby się ładnie kręcił, ani nie ładnego, tylko cały zarobek oddawał rodzicom, którzy za to sprawiali mu buty i ubranie.

Mały Stephenson był więc dzielnym i pracowitym chłopcem; przytem nie narzekał nigdy na swoją biedę. Był on bardzo zręczny, tak, że gdy się co

popsuło z naczyń domowych, naprawiał je sam; potrafił także szyć buty, naprawiać zegarki i w ten sposób zarabiał sobie także trochę pieniędzy.

Byłby chętnie poszedł do szkoły, żeby się nauczyć czytać i pisać, ale na to był za biedny i nie miał ani czasu ani pieniędzy.

Tak więc w ciągłej pracy rósł i stał się już dużym człowiekiem, a jeszcze nie umiał czytać i pisać.

Raz, pracując w fabryce, musiał pilnować maszyny parowej. Maszyna parowa jest podobna do maszyny do szycia. Widzieliście już nieraz, że gdy mama szyje, to wprawia w ruch maszynę przy pomocy nogi i maszyna szyje wtedy tetetetetete—rrrrrr. Przy maszynie parowej nie trzeba naciskać nogą, bo ciśnie tu para, którą się wytwarza w kotle z gotującą wodą i porusza maszynę.

Lokomotywa jest też maszyną parową. Ale wtedy nie było jeszcze lokomotywy.

Stephenson przyglądał się maszynie ciekawie i poznał jej budowę. Zaprag-

nał wtedy umieć czytać, aby z książek opisujących maszyny parowe, mógł się czegoś o nich dowiedzieć. Odkładał więc sobie trochę pieniędzy, i wieczorami, po skończonej robocie, chodził do nauczyciela szkolnego i uczył się czytać i pisać. Poszło mu to bardzo prędko, tak, że wkrótce mógł czytywać książki, w których były obrazki z maszynami parowymi. Stawał się coraz rozumniejszym, zarabiał coraz więcej pieniędzy i rozmyślał, jakaby nową maszynę zbudować. Nareszcie zrobił sam taką maszynę parową, która biegła na kołach po szynach. A była to lokomotywa tutututututu!

Dowiedzieli się o tym wynalazku bogaci ludzie. Przybyli oni do Jerzego i powiedzieli mu:

— Kochany Jerzy, wybuduj nam taki piękny pociąg, którymby można jeździć daleko, a damy ci za to dużo pieniędzy.

I wybudował Stephenson pierwszą kolej żelazną, a potem więcej jeszcze kolei, i w końcu stał się bogatym człowiekiem i mógł nie tylko sam żyć przy-

jemnie, ale i innym czynił dużo dobrego. Kupował dzieciom książki, zabawki i pomagał im różnym sposobem.

Sam czytał dużo książek i pracował ciągle nad tem, żeby zbudować coraz lepszą lokomotywę i coraz prędzej jadącą kolej. Dzisiaj koleje żelazne zbudowane są prawie we wszystkich krajach i my przebywamy niemi szybko ogromne przestrzenie, na co ludzie potrzebowali dawniej bardzo dużo czasu, przyczem męczyli się okrutnie tak ludzie jak i zwierzęta, które ich ciągnęły lub przenosiły.

Co opowiada pomarańcza?

Patrzcie na ten wózek ze wspaniałymi owocami! Jak się do nas śmieją te czerwone jabłuszka, jak przyjemnie pachną złote pomarańcze! Chodźcie, kupimy u przekupki kilka pomarańcz i zanieśliemy mamusi do domu.

A więc kupiliśmy ich kilka. Co te okrągłe złote owoce mogą o sobie po-

wiedzieć? Wy mówicie, że one nie umieją mówić, bo nie mają ust. Ale gdyby umiały, może opowiedziałyby nam jaką powiastkę. Czy chcecie posłuchać jedną z nich. Tak?

To dobrze! A więc pomarańcza opowiedziałaby nam może taką powieść.

W najpiękniejszym powietrzu porannem wisiałam szczęśliwa na niedużem drzewie pomarańczowem. Ciemnobłękitne niebo roztaczało się nad moją ojczyzną, Włochami. To stąd daleko, i gdybyście tam dojechać chcieli, musielibyście zawsze jechać w tym kierunku, w jakim słońce wznosi się na niebie do południa, t. j. w kierunku południowym.

Wyrosłam więc we Włoszech, wisząc wśród moich sióstr i towarzyszek na pachnących drzewach o wielkich trwałych liściach. Ptaszki były moimi towarzyszkami i świergotały mi wesołe piosenki.

Byłam najpierw mała, potem duża; kochane słoneczko zawsze mię przygrzewało, a drzewo, na którem rosłam,

korzeniami wysysało pożywienie z ziemi i dostarczało mi go obficie.

Ale naraz skończyło się to całe wspa-
niałe życie! Dla ludzi najstraszniej-
szem jest gdy muszą wisieć. Lecz my,
pomarańcze, pragniemy wisieć jak naj-
dłużej i najgorszem jest dla nas wła-
śnie to, gdy już nie możemy wisieć,
gdy zerwą nas z drzewa.

Ten straszny los spotkał i mnie; ale
pocieszyłam się w mojem zmartwieniu,
bo widziałam, że i innym stworzeniom
źle bywa na świecie, jak nam pomarań-
czom, a nawet i ludzkie dzieci spotyka
śmierć.

Miała dziewczynka, która mię zerwa-
ła z drzewa, miała łzy w swoich du-
żych, czarnych oczach, płakała, bo nie
miała już ani matki ani ojca i nikt
się o nią nie troszczył. Musiała już
pracować i tem zarabiać na chleb.
Właśnie służyła u właściciela naszego
ogrodu pomarańczowego i musiała zry-
wać pomarańcze. Za to dostawała je-
dzenie. Cieszyłam się więc, że przyczy-
niłam się do jej lepszego bytu.

Nie wiem co się stało dalej z tą małą ładną dziewczynką. Nie widziałam jej więcej, bo zostałam zapakowana z innemi pomarańczami do skrzyni i wysłana koleją, jak słyszałam na północ, w tę stronę, w której nigdy nie bywa tak gorąco jak u nas.

Jechałam dniem i nocą droga szła przez wielkie góry zwane Alpami. To są wysokie, bardzo wysokie góry, najwyższe jakie są w Europie. Na tych górach zawsze leży śnieg i lód, nawet w lecie, gdy u nas jest tak gorąco, że ludzie chodzą boso i w lekkim ubraniu.

Jechaliśmy tam przez ogromnie wysoką górę, której wierzchołka nie widać, bo cały kryje się w obłokach. Ale przez środek tej wielkiej góry jest zrobiony długi, długi otwór, wymurowany wewnątrz i to się nazywa tunelem. Kolej jedzie prawie całą godzinę wśród ciemności nocnych przez tę górę, a w wozach kolejowych pali się światło. To jest smutna jazda!

Nareszcie przebyliśmy ten tunel i wyjechaliśmy znowu na świeże powie-

trze; jechaliśmy wśród wielu małych gór, przez wiele rzek i strumieni i dojechaliśmy do was. A wtedy u was było tak zimno, że zmarzłam, gdy naszą skrzynię otworzyli; pierwszy raz w życiu zobaczyłam biały śnieg i ludzi odzianych w zwierzęce skóry. Zanieśiono nas do wielkiego składu, gdzie leżało dużo pomarańcz.

Tu nadjechał chłopczyk z wózkiem, kupił skrzynkę, w której byłam ja i inne moje towarzyszki i woził nas po ulicy wołając ciągle “pomarańcze, pomarańcze!” A ludzie kupowali.

Wtedy poznałam, że wy mówicie zupełnie innym językiem, niż ludzie z naszych słonecznych Włoch. Mówicie na przykład “ja przyszłam”. Nikt u nas nie rozumiałby tego. We Włoszech musielibyście zamiast tego mówić “io sono venuto.” “Wyście słyszeli”, powiedziałyby się u nas: “voi avete udito”.

Jeżeli zechcecie pojechać kiedy do słonecznego włoskiego kraju, zrobicie dobrze nauczysz się wprzód języka włoskiego, bo tam was nie rozumieją.

Zal mi było opuszczać mego małego pana, bo u niego w wózku widziałam dużo ciekawych rzeczy, ale gdy zobaczyłam z jaką radością chłopczyk chował zarobione pieniądze, za które kupił sobie potem bułkę i ser — to już przestałam się martwić.

Pewnie będę zjedzona przez was dzieci, ale to trudno, wiem, że jestem smaczna. Proszę was tylko o jedno: wsodźcie moje nasionka do ziemi, że by mogły wyrosnąć z nich nowe drzewka pomarańczowe.

Podróż naokoło ziemi.

Dzisiaj zaprojektujemy sobie podróż naokoło ziemi. Niech nam się zdaje, że mamy dużo pieniędzy, że pojedziemy na kolej i kupimy bilety na drogę. Potem wsiądziemy do wagonu, przejedziemy cały nasz kraj, potem sąsiednie Niemcy aż do morza Północnego. To będzie trwało dwa dni, lub więcej. Teraz przyjedziemy do dużego miasta

Hamburga. Od tego miasta zaczyna się morze, w którem żyje wiele tysięcy ryb, a po powierzchni morza pływa wiele setek okrętów. Zakupimy sobie miejsce na okręcie i wypłyniemy na morze.

Będziemy jechać przez osiem lub dziesięć dni, a ciągle jeszcze naokoło nas będzie ogromna woda. Jak tylko okiem sięgnąć, wszędzie woda! A woda jest tak głęboka, że moglibyśmy jaką bardzo dużą górę wstawić do wody, i jeszczeby jej wierzchołka nie było widać. Ta woda, to Ocean Atlantycki.

Gdy rano wcześnie wyjdziemy na pokład okrętu, zobaczymy złotą kulę słoneczną na wschodzie, jakby wychodzącą z wody. To się tylko tak wydaje, że kula słoneczna wychodzi z wody, a to właściwie nasza kula ziemską, na której mieszkamy, obraca się tak że po nocy, podczas której nie widzimy słońca, rano znów się nam ono ukazuje.

Wiecie zapewne, że słońce i księżyc dlatego nam się tak małe wydają, że

są od nas ogromnie daleko. Wszystkie bardzo oddalone przedmioty wydają nam się mniejsze, niż są. Gdy zaś się zbliżamy, wydają się nam coraz większe.

Gdybyśmy mogli dolecieć do słońca, musielibyśmy lecieć całe lato i całą długą zimę. I potem musielibyśmy jeszcze wiele lat ulecieć i przez wiele lat obchodzić urodziny w drodze do słońca, zanimbyśmy się do niego zbliżyli. Wtedy słońce okazywałoby się nam coraz większe, większe niż ten kraj, który widzicie możemy z wysokich gór, większe niż największe góry, niż morze, niż cała wielka ziemia, o wiele, wiele od niej większe!

Patrzcie na ten mały balonik gumowy. Zaledwie możecie go otoczyć polcami. Pomyślcie sobie teraz, że ten balonik, który niech wam wyobraża ziemię możemy wydać. Czy wiecie do jakiej wielkości musielibyście wydymać balonik, żeby niby naśladował słońce, które tyle razy jest większe od ziemi? Musiałby się stać balonik dwa razy wyższy niż nasz pokój!

Tak wielkiem jest słońce w porównaniu z ziemią! A przecież słońce wydaje się tak małe!

Płyniemy już przez kilka nocy okrętem, a wciąż jesteśmy jeszcze na wodzie. Co wieczór złocista kula słoneczna, jak ogromna błyszcząca pomarańcza, zapada się w wodę i znika. Jest znowu noc. Ale to tylko wydaje się, że słońce zniknęło w morzu. Weźmy lampę i wyobraźmy sobie, że to jest słońce, nasz balonik gumowy będzie ziemią. Zrobię czarny punkcik na tym baloniku, to będzie nasz okręt.

Ten punkt na baloniku będzie teraz oświetlony przez słońce, dzień jest dla wszystkich, którzy znajdują się na okręcie. Obracam powoli balonik, a punkt czyli nasz okręt, przechodzi na ciemną stronę balonika gumowego. Jest tu noc, a gdy będziemy dalej obracać, nasz punkt stanie znowu w oświetleniu lampy, będzie ranek a potem dzień.

Tak jak z balonikiem gumowym i lampą, dzieje się z ziemią i słońcem.

Jedziemy okrętem jeszcze kilka dni i w końcu widzimy z dala czarny pas lądu. Z początku wydaje się on jak pasek, a gdy się zbliżymy to coraz wyżej wznosi się ląd i widzimy coraz większy kawał jego.

Przypływamy do wielkiego lądu na drugiej stronie ziemi, do Ameryki. Wpływamy do zatoki i jesteśmy już w wielkiem mieście Nowym-Yorku. Widzimy w nim domy, które są o wiele wyższe niż nasze domy najwyższe, tak prawie wysokie, jak wieża kościelna, która się wznosi ponad wszystkie domy.

Pomiędzy Nowy-Yorkiem i jednym jego przedmieściem jest most tak wysoki, że duże okręty morskie z wysokimi masztami przepływają pod nim, a po tym moście jedzie kolej żelazna i rozliczne wozy.

W Nowym-Yorku wsiadamy znowu do wagonu kolei żelaznej i jedziemy znów kilka dni. Jedziemy przez wysokie góry, głębokie wąwozy, ponad ogromnemi przepaściami, tak, że wy-

daże się, że spadniemy do głębokiej wody.

Wreszcie przybywamy na drugą stronę wielkiego lądu, wsiadamy znowu na okręt i jedziemy znów przez wielkie morze, zwane Oceanem Wielkim czyli Spokojnym. Ten Ocean jest niezmiernie głęboki.

I znowu słońce co rano zdaje się wychodzić z wody i wieczorem zanurzać się w niej. To się dzieje przez wiele dni. Okręt płynie ciągle. Czasem zdarza się w drodze ogromna burza: bałwany wodne piętrzą się tak wysoko, jak domy, a ludzie na okręcie boją się, aby burza nie przewróciła okrętu i aby on nie zatonął w tej głębokiej wodzie.

Wreszcie po jakimś czasie przybywamy do wielkiego kraju chińskiego w Azji. Chińczycy są to ludzie o twarzy żółtawej z czarnymi włosami. Tam mężczyźni noszą warkocze, jak u nas kobiety.

Stamtąd płyniemy po rzece do wielkiej i zimnej Syberyi, na północy Azji. Tam wsiadamy do wagonu i jedzie-

my cztery tygodnie, ciągle kolejną, przez całą Rosję. A minawszy Rosję, jesteśmy znowu w naszym kraju i cieszymy się, żeśmy wrócili do domu.

Byliśmy w różnych krajach, i widzieliśmy ludzi o żółtych twarzach. Ale u ludzi koloru brązowego i czarnego nie byliśmy. Musielibyśmy jeszcze jechać bardzo daleko kolejną i okrętem i dojechalibyśmy do Indyi. Tam są ludzie o twarzach ciemnych a także i słonie, które są bardzo mądre i silne; przy budowaniu domów przenoszą one swą trąbą wielkie belki i podają je ludziom. A w rzekach są złe krokodyle, które są brzydkimi i strasznymi zwierzętami, w lasach zaś są tygrysy i węże jadowite, które napadają na ludzi i inne zwierzęta.

Lwy zobaczymy, gdy okrętem przeprawimy się do innej części ziemi, do Afryki. Są tam także krokodyle, nosorożce, antylopy, żyrafy, słonie i murzyni, ludzie o czarnym kolorze ciała. Tam można też spotkać i małpy, które wyglądają prawie, jak dzieci ludzie. Tam dzikie zwierzęta napadają na ludzi i

pożerają ich. Zdarza się też, że gdy kobiety lub dzieci idą do rzeki po wodę, nieraz ukazuje się krokodyl i wciąga je do wody, gdzie je pożera.

W Afryce żyje dużo ludzi tak dzikich jeszcze, jak u nas żyli ludzie przed wieloma tysiącami lat. Nie będziemy też tam bawić długo i wrócimy prędko do swojego kraju i do domu. Czy chcielibyście odbyć naprawdę taką podróż?

Spis Rzeczy.

STR.

Opowiadanie o zwierzęciu, zwanem ogień i o za-	
palce	5
Pierwsza łódka	23
Król Strzałka Wodna i pierwszy wóz	41
Ogród pszeniczny kulawej Małgorzaty	56
Wynalazca pluga	65
Wdzięczny pies	68
Powiatka o małej mleczarce	74
O zwierzętach domowych używanych do pracy ..	83
O wynalazcy kolei żelaznej	89
Co opowiada pomarańcza?	93
Podróż naokoło ziemi	97



STANISŁAW STASZYC.

STANISŁAW STASZYC.

Stanisław Staszyc jest jednym z najzaniejszych ludzi, jakich wydał naród polski. Był mądrym i szlachetnym. Całe życie służył krajowi pracą i majątkiem. Pragnął, aby naród był szczęśliwy i rządził się mądrze i sprawiedliwie.

Stanisław Staszyc urodził się w Pile w Wielkopolsce roku 1755. Pochodził z rodziny mieszczańskiej. Ojciec Staszycy był burmistrzem miasta Piły. Matka, bardzo pobożna, przeznaczyła go do stanu duchownego i od dziecka ubierała go w sukienkę zakonną. Po ukończeniu szkół w kraju wyjechał młody Staszyc za granicę, aby się dalej jeszcze kształcić. Szczególnie przykładł się do nauki o ziemi. Wiedział bowiem, że Polska obfituje w miedź, żelazo, cynę, węgiel, ale korzyści z tego

nie ma, bo nikt nie umiał się wtedy należycie zająć górnictwem. Uczył się więc pilnie, aby powróciwszy do kraju mógł pracować pożytecznie dla narodu.

Osiadłszy w Warszawie, spełnił wolę matki i został księdzem. Dużo myślał i pracował nad dobrem narodu. Za główne nieszczęście ludzi poczytywał ciemnotę, nieuctwo i próżniactwo, pragnął też dla wszystkich nauki, oświaty.

“Pierwszym obowiązkiem człowieka, — mówił, — jest pracować. Tylko przez pracę staje się człowiek użytecznym. Próżnowanie czyni człowieka szkodliwym.”

Kochając kraj ojezysty gorąco, jeździł po różnych okolicach Polski, aby poznać, jakie skarby chowa w swem łonie. Zwiedził nasze góry polskie, Karpaty i opisał je w książce uczonej. Tak całą duszą miłował ziemię polską, że wydawała mu się piękniejszą od obcych. “Polski oddech powietrza, — pisał, — zdaje mi się wolniejszy; niebo polskie czystsze, jaśniejsze, a drzewa i łąki zieleńsze. Nawet ptaki, — powiada, — co z południa do nas przylatują, owe bociany i jaskółki, skoro na polskiej staną granicy natychmiast krzyczą wesoło i głośno robią skrzydłami.”

Pracował gorliwie Staszyce nad podniesieniem handlu i przemysłu, które dają dobrobyt krajowi. Zakładał kopalnie i huty, budował fabryki, drogi i mosty; przyczynił się do założenia szkoły gospodarstwa wiejskiego pod Warszawa

Niezmiernie dbały o naukę polską i oświatę, przyczynił się do założenia wielu szkół po wsiach, miastach i miasteczkach. Nie raz sam szkoły te objeżdżał, egzaminował uczniów i cieszył się z ich pilności i postępów w nauce. Pomagał też do założenia zakładu dla głuchoniemych, który stał się dobrodziejstwem dla wielu nieszczęśliwych, pozbawionych mowy i słuchu.

Hojną dłońą wspierał Towarzystwo Przyjaciół Nauk, mające na celu szerzenie nauki polskiej. Własnym kosztem wystawił temu towarzystwu gmach okazały w Warszawie. A przed tym gmachem postawił pomnik Mikołaja Kopernika, jako największego uczonego polskiego.

Zajmował się Staszyc gorąco ludem wiejskim i pragnął, aby każdy włościanin miał kawałek gruntu na własność. W tym celu ogromne dobra swoje Hrubieszowskie darował włościanom pod warunkiem, że każdy włościanin część dochodu odda do wspólnej kasy znów na zakupno ziemi dla biedniejszych.

Staszyc hojny dla drugich, dla siebie był skąpy.

Żył ubogo i skromnie. Prócz wody nie innego nie pijał.

Umarł 20-go stycznia 1826 r.

Cały olbrzymi majątek zapisał na cele dobroczynne. Zastrzegł sobie pogrzeb skromny, za to ubogim kazał w dniu pogrzebu rozdać dziesięć tysięcy złotych polskich. Spoczywa na Bielanach pod Warszawą.

Cały naród czei pamięć Staszycę, jako jednego z najzasłużeńszych mężów, który do rodaków pięknie mawiał: "Polakiem jesteś, a jako Polak powinienes poświecić się cały i wszędzie na usługi narodu."

Staszyc — sławne jego miano
 Żyć będzie na wieki,
 Świecąc polskim pokoleniom
 W przyszłości dalekiej.

Miłość była jego hasłem,
 Nadzieja i wiara,
 W życiu wciąż więc przyświecała
 Owa trójca stara,

BÓR I LUDZIE PUSZ- CZY BIAŁOWIESKIEJ

Wojna obecna, tak szeroką lawą rozlewającą się po ziemiach Rzeczypospolitej, dotarła i do Puszczy Białowieskiej, puszczy, stanowiącej największy las w środkowej Europie, tajemniczej w swych nieprzebytych obszarach, legendą niemal owianej. Te niezgłębione pralasy wśród których nie wszędzie powstała stopa ludzka dziwny mają czar, niezwykłym nęcą urokiem, świat to zgoła tajemniczy, i choć nie tak odległy lecz dla nas, którzyśmy go nie oglądali, prawie egzotyczny.

Puszcza Białowieska, tak swą istotą odrębna wychowała też lud odrębny. Sienkiewicz w opisie wrażeń z wycieczki do puszczy powiada, że lud ten, odłączony od reszty świata i ulegający mniej zewnętrznym wpływom, zachował natomiast więcej dawnych zwyczajów, tradycji i cech dawnego bytu, niż mieszkańcy ziem puszczy przyległych. Lud ten przytem nie

zua nigdy pana. “My byli królewscy ludzie wolni” — mówił przewodnik do naszego wielkiego pisarza, gdy zwiedzał puszcę.

Chłopi puszczańscy mają po większej części wysoki wzrost i są bardzo szczupli. Ubierają się w szare siermięgi, płócienne szarawary i chodaki z łyka, przymocowane sznurkiem, okręconym koło nogi. Posiadają nadzwyczaj delikatną cerę, co zawdzięczają niewątpliwie życiu w mrokach leśnych. Twarze ich ładne, sympatyczne o rysach drobnych i uduchowionym wyrazie. Przytem lud to bardzo religijny, łagodny i trzeźwy. Puszcę kochają gorąco, jak wogóle wszyscy lasowiacy bory, które wykołysały ich młodość. To zżycie się z naturą stwarza tam niewątpliwie częste typy nieświadomych tego, lecz szczerych poetów boru. Podobnie jak ów “gazda halny” Tetmajera, dla którego rozległe hale tatrzańskie były “jego gazdostwem” i wpatrzony w cudną okolicę górską, jeszcze w ostatniej chwili stygnącemi usty do niej się uśmiechał, tak i w tej nieprzebytej puszczy muszą żyć ludzie, którzy zrośli z jej drzewami gęźbą ptaków, odgłosami życia licznej zwierzyny, miłują ją ze wszystkimi sił, bo ona im kolebką, matką, żywicielem, światem całym.

Stary puszczański chłop, niewątpliwie kłusownik, który podczas chrzein, czy wesela musi mieć żubrze mięso, w przeddzień zgonu wlece się jeszcze do boru na słabnących nogach, by głowę którą niezapługo mroki śmierci ogarną, owionął szum ukochanych sosen, dębów,

lip i jesionów, by w uszach zadźwięczały mu śpiewy ptasząt, by stary bór, niby świątynia, rozebrzmiał nad nim raz jeszcze potężnym, nieśmiertelnym, a tak drogim hymnem, który przełożyłby w słowach można chyba na pieśń, co siermiężne rozmodlone tłumy rzuca na kolana i bije pod stropy świątyni zwrotkami: "Święty Boże, święty mocny"...

I zapewne z wybladłych oczu starców puszczańskich spływają równie rzewne i równie bólem przejmujące łzy w chwili ostatniego pożegnania z światem leśnym, jak gdy błogostawią stygnącą ręką dzieci, wnuki prawnuki.

Zżycie się z naturą uszlachetnia te dusze szczerze i proste i budzi w nich głęboką religijność. To też nie dziw, że świat mrocznych leśnych głębi ongiś natchnął Sienkiewicza do napisania prześlicznego obrazka: "Sielanka." Miłość dwojga młodych, smolarza i Kasi posiada tam te właśnie cechy, które daje duszy ludzkiej zespolenie się z naturą. Kasia pod omuszonym kamieniem usiadła pleść wianki na jutrzejsze Zielone Świąta, ośmnastoletni smolarz obok niej — a bór mówi, szepec i śpiewa... Przemawiają dęby, sosny brzozy, modlą się pod zorzą wieczorną, a ich dusze niewinne rozumieją tę mowę tajemniczą. Gdy zaś za jeziorem, w kościółku zadzwoniono na Anioł Pański, wówczas ukłękło tych dwoje i wraz z wieczorną modlitwą drzew wzniosły się ich modły ku niebu...

LITWA.

Litwa, na której ziemiach toczą się krwawe walki, rozciąga się między rzekami Niemnem, Dźwiną i Dnieprem, a na północy dotyka morza Bałtyckiego. Właściwym twórcą państwa litewskiego był książę Gedymin. On to na początku czternastego wieku umocnił utworzone już dawniej państwo i z Wilna utworzył stolicę. Książę Gedymin ma też dla Litwy takie znaczenie, jakie Bolesław Chrobry dla Polski; był pierwszym budowniczym Litwy.

Litwini z wszystkich narodów w Europie najdłużej żyli w pogaństwie, bo aż do czternastego wieku. Jako lud pogański i dziki budzili postrach w sąsiednich narodach. Nieraz napadali ziemie polskie, niszczyli je, palili, rabowali, zabierając tysiące ludzi w niewolę. Najzaciętsze jednak walki staczali Litwini z Krzyżakami. Kiedy książę Giedymін zasiadł na tronie litewskim zrozumiał, że sam Krzyżakom oprzeć się nie zdoła, zwrócił się więc z przyjaźnią ku

Polsec. Panował w niej wówczas Władysław Łokietek, któremu Krzyżacy również dawali się wo znaki. Ochotnie zawarł więc z Gedyminem przymierze, a na znak tej przyjaźni polsko-litewskiej syn Łokietka, Kazimierz, zwany później Wielkim, poślubił Aldonę, córkę Gedymina. Gody weselne młodej pary odbyły się w Krakowie. Przedtem Aldona przyjęła chrzest święty, a na chrzcie imię Anny.

Małżeństwo Kazimierza Wielkiego z Aldoną było pierwszym węzłem, zadzierzgniętym między Litwą a Polską. W kilkadziesiąt lat później nastąpiło jeszcze silniejsze i nierozzerwalne połączenie obydwóch krajów przez małżeństwo wnuczki Kazimierza Wielkiego, Jadwigi, z Jagiełłą, wnukiem Gedymina.

Jadwiga i Jagiełło, to dwa najświetniejsze imiona w dziejach Litwy. Dzięki tej parze królewskiej wiara św. spłynęła na Litwę i Litwa dotąd pogańska stanęła w rzędzie państw chrześcijańskich, oświeconych. To też uznając ważność dekonanego zjednoczenia, w trzy lata po bitwie grunwaldzkiej zjechali się panowie polscy i litewscy wraz z królem Jagiełłą w miasteczku Horòdle nad Bugiem i tu zawarli Unię, czyli połączenie Litwy z Polską. W półtora wieku po unii Horodelskiej nastąpiła Unia Lubelska. Stanęła ona dzięki Zygmuntowi Augustowi. Ostatni ten bowiem król z rodu Jagiellonów, obawiając się, aby po śmierci jego Litwa nie odpadła od Polski, zwołał panów polskich i litewskich do Lublina i tu przeprowadził potwierdzenie i umocnienie Unii, zwanej Lubelską.

Złączona pod jednym berłem, dzieliła Litwa równe losy z Polską, okrywała się chwałą i cierpiała niedolę. Po rozbiorze Polski Litwę zagarnęła Rosya. Srogim uciskiem starała się wykorzenieć uczucie przynależności do Polski, lecz daremnie. Zarówno w powstaniu 1831 jak 1863 r. Litwa czynny wzięła udział i obficie spłynęła krwią męczeńską. Dopiero w ostatnich latach tu i ówdzie zaczęła się objawiać wśród Litwinów niechęć do Polaków. Jednakże należy sądzić, że wspólne cierpienia, jakie w wojnie obecnej przechodzą zarówno Polska jak Litwa, u niechętnych zatrać niechęć i przywrócą pamięć wiekowej łączności i pracy dla wspólnego dobra.

Ziemia litewska to kraina piękna i bogata wyposażona przez przyrodę. Pokryta wspaniałymi lasami, skropiona mnóstwem rzek i jezior, obfituje, — jak powiada poeta, w “ryby, grzyby i wędliny, Lny dorodne, huk zwierzyzny.” Odwieczne lasy litewskie cieszą się sławą niemałą. Zjeżdżali do nich na łowy królowie polscy i wtedy puszcza litewska rozbrzmiewała odgłosami trąbki myśliwskiej i graniem ogarów. Ofiarą łowów królewskich padały niedźwiedzie, żubry, lisy, bobry i dziki. Dotąd puszcę litewską zamieszkują danielę, sarny, łosie, jelenie dziki i żubry. Zwierzyna to nieładna, zwłaszcza żubr wielki, do wołu podobny, o silnym łbie i karku z ogromną grzywą, uznany za króla lasów litewskich; tem cenniejszy, że w Europie całej zachował się tylko w puszczy litewskiej, gdzie żyje otoczony troskliwą opieką. Ażeby żubry zachować od

zupełnego wyginięcia, surowo zabroniono zabijania tej rzadkiej zwierzyny.

W lasach litewskich rosną dęby, świerki, lipy, brzozy, graby, jesiony. Nad wszystkimi drzewami góruje jednak sosna, która dorasta tu wspaniałych rozmiarów. U stóp drzew roślących krzewią się leszczyny, jałowce a niżej kwiaty, trawy, jagody i mchy tworzą kobierzec wozrzysty. Miejscami las rośnie na bagnach i mokradłach. Dostęp tu trudny, a często zgola niemożliwy. Mickiewicz, który w pięknych wierszach opisał nam lasy litewskie, owe niezgłębione tajniki puszczy litewskiej w takich maluje słowach:

“Któż zbadał puszcze litewskich przepastne krainy, Aż do samego źródła, do jądra gęstwiny?... Gdybyś przeszedł bory i podszyte knieje, Trafisz w głębi na wielki wał pniów, kłód, korzeni, Obronny trzęsawicą, tysiącem strumieni I siecią zielsk zarosłych i kopcami mrowisk, Gniazdami os. szerszeniów, kłębami węzowisk. Gdybyś i te zapory zmógł nadludzkim męstwem, Dalej spotkać się z większym masz niebezpieczeństwem: Dalej co krok czyhają, niby wilecze doly Małe jeziora, trawą zarosłe na polu, Tak głębokie, że ludzie dna ich nie dośledzą, (Wielkie jest podobieństwo, że dyabły tam siedzą.)”

Zabytkiem owych prastarych, odwiecznych borów litewskich jest dziś puszcza białowieska, licząca dwadzieścia dwie mile kwadratowego obszaru, położona ośm mil od Brześcia Litewskiego. Obfituje w żubry, niedźwiedzie, rysie, gronostaje, borsuki, zórawie i orły. Ol-

brzymie jej dęby i jesiony uważane są za najlepszy w Europie materiał do budowy okrętów; — słynie przytem z bogactwa grzybów, stanowiących przedmiot rozległego handlu i wielkiej ilości pszczół, dających owe sławne miody litewskie. Wewnątrz puszczy białowiejskiej rozsianych jest dwadzieścia kilka wiosek i miasteczek. Największem z nich jest Białowieża. — Litwę zamieszkują Litwini Polacy i Białorusini, nie licząc wielkiej liczby Żydów, stanowiących, jak zawsze i wszędzie, plagę kraju. Litwini zamieszkują głównie w dzisiejszej gubernii Kowieńskiej, Wileńskiej i Suwałskiej. Granice dawnej Litwy sięgały znacznie dalej, to też Litwini zamieszkują także okolice Kłajpedy, Tylży i Wystrucia. Na ogół ludność litewska wynosi do trzech milionów; z tego wielka liczba wyemigrowała do Ameryki, a pod panowaniem pruskim żyje około 120 tysięcy. Lud litewski jest w pracy wytrwały i poważny:

“Lud to cichy, rzewny, skryty,
 Jak to mówią: kuty, bity,
 Kiedy szczery, jak воск topnie;
 Ale, gdy go kto zahaczy,
 To i w grobie nie przebaczy”...

Język litewski pokrewny jest językom słowiańskim. Matka np. po litewsku jest motyna, ręka ranka, zima žema.

“Nastarej Litwie, Wstęgą się zwija Błękitny Niemen, Modra Wilija.”

Stolicą Litwy jest Wilno. (Zobacz "Przewodnik Katolicki" nr. 40.) Na zachód od Wilna leży najstarsze miasto litewskie i pierwotna stolica — Troki. Dziś to miasteczko niewielkie, z malowniczymi ruinami zamku trockiego, zbudowanego przez Kiejstuta na jednej z wysp trockiego jeziora. Przy ujściu Wilii do Niemna leży Kowno, pamiętne walkami z czasów wojen krzyżacko-litewskich. Nad Niemnem leży również Grodno, z którem łączą się dla nas smutne wspomnienia historyczne. W Grodnie umarł król Stefan Batory. W Grodnie odbył się sejm, na którym podpisano drugi rozbiór Polski. Tu wreszcie, dnia 25 listopada 1795 r., złożył koronę Stanisław Poniatowski. Przed kilku laty zmarła w Grodnie Eliza Orzeszkowa, powieściopisarka znakomita i zasłużona obywatelka.

Po Wilnie największym miastem na Litwie jest Mińsk, w którym za czasów wolnej Polski odbywały się najwyższe sądy, zwane trybunałami. Ważnym jest Brześć Litewski, pamiętny w dziejach naszych i Pińsk, którego nazwę spotykamy dziś często w wiadomościach z wojny. Wreszcie pamiętnym jest dla nas Nowogródek, niegdyś stolica książąt litewskich, w którym lata dziecięce spędził Adam Mickiewicz, urodzony w Zaosiu pod Nowogródkiem.

Wiesz nas w "Panu Tadeuszu" w natchnionych słowach opisał przyrodę i społeczeństwo litewskie. To też, kto pragnie poznać piękną ziemię litewską, niech weźmia księgę

wieszczą do ręki. Poemat zaczyna się Litwy imieniem:

“Litwo, Ojczyzno moja! ty jesteś jak zdrowie,
Ile cię trzeba cenić, ten tylko się dowie,
Kto cię stracił. Dziś piękność twą w całej ozdobie
Widzę i opisuję, bo tęsknię po tobie...”

SKĄD CZŁOWIEKOWI PRZYSZŁO NA MYŚL LATAC W POWIETRZU

Pierwszy człowiek, który siedząc na skale nadmorskiej, patrzył na stada białych mew, jak wznoszą się i opadają na kształt śnieżnych płatków, z wdziękiem zataczają kręgi nad błękitnymi toniami, czasem tylko lekko i pieszczotliwie muskając je skrzydłem—pozazdrościł im i zapragnął je naśladować. Wtedy urodziła się stara jak świat — myśl żeglugi powietrznej. Świadeżą o tem odwieczne podania, z których najlepiej jest znana historia Ikarą, który w każdym razie musiał być dziel nym lotnikiem. Słońce roztopiło воск, przy którego pomocy przymocował sobie był skrzydła do ramion i śmiała wyprawa zakończyła się nieco za szybką katastrofą nad Morzem

Śródziemnem. Ikar utonął, ale tragiczny jego koniec nie odstraszył innych. Grek Archytas zbudował sztucznego gołębia, który bardzo szybko latał, ale świat starożytny nie posiadał dostatecznych środków technicznych, któreby dawały widoki powodzenia.

Żegluga napowietrzna zaprzętała umysł jednego z największych mędrców średniowiecza — Rogera Bacona. Uczony ten zakonnik angielski usiłował już w roku 1214, rozwiązać tę wielką tajemnicę. Widok chmur płynących po niebie, niby okręty, nasunął mu pomysł przyrządu, który pod niektórymi względami przypomina napowietrzne statki Zeppelina...: „Wielka pusta kula z cienkiej miedzi lub innego kruszcu, napełniona płynnym ogniem” — oto recepta na maszynę, mogącą unosić się w przestworzach. Zdaje się jednak, że Bacon nigdy nie próbował jej zbudować, dzięki czemu uniknął oczywiście śmierci przedwczesnej.

Czterysta lat mija i znowu pomysł statku napowietrznego pokutuje w głowie innego zakonnika, nazwiskiem Lana. Miała to być rzeczywista łódź z masztem i żaglem, utrzymywana przez cztery kule miedziane, przymocowane linami i lżejsze od powietrza przez wypompowanie go ze środka. Przyrząd ten nie został również nigdy zbudowany. — I wówczas jednak nie brakło śmiazków, którzy czynili próby ze swemi wynalazkami. W roku 1508, opat Damian oznajmił, że przeleci ze Szkocyi do Francyi na skrzydłach z piór ptasich. Wyprawa skończyła się tragicznie: opat Damian złamał

nogę, ale nieczrażony niepowodzeniem, oświadczył, że gdyby jego skrzydła były zrobione z piór orlich, byłby z pewnością dolceiał do Francyi. To się nazywa zapal!

Liczne tedy nieudane próby w dziedzinie żeglugi napowietrznej dowodzą, że w odległych nawet czasach nie uważano tego za niepodobieństwo. Alchemicy, uczeni, marzyciele—wszysej dążyli do rozwiązania tej zagadki chociaż nie mieli jasnego pojęcia o tem, w jaki sposób dałoby się to uskuteczyć. Rozumieli, jaką dałaby im potęgę możność swobodnego poruszania w strefach podobłocznych, choć równie dobrze mogłoby ich zaprowadzić na stos jako czarowników... Rysunki statków napowietrznych z owej odległej epoki są nader fantastyczne: widzimy na nich dziwaczne potwory, smoki metalowe, ziejące ogniem i dymem. Zagadnienie to pociągało również jednego z największych artystów świata, Leonarda da Vinci, który był równocześnie znakomitym filozofem i mechanikiem. Przyrząd wyrysowany przez niego posiadał skrzydła ruchome, które dawały się składać i rozwijać. Nigdy nie został on wykonany, świadczy jednak o potędze umysłu włoskiego mistrza.

W ciągu siedmnastego wieku mnożą się próby i usiłowania celem podboju powietrza. Między innymi zajmował się tem i sławny filozof angielski Franciszek Bacon, który napisał na ten temat kilka rozpraw naukowych. Niemiec Fleyder, nauczyciel z Tybingi, wygłosił publiczny odezyt o sposobach utrzymania

się w powietrzu, zdaje się jednak, że żaden ze słuchaczy nie skorzystał z jego wywodów. W tym samym czasie — w r. 1617. — Włoch, Fausto Veranzio, wykonał we Wenecyi wzlot z wieży św. Marka. Musiał to być rodzaj spadochronu, za którego pośrednictwem łatwo było kark skrócić. Wspaniały musiał być widok placu św. Marka wypełnionego barwnym tłumem; kto nie mógł się tam pomieścić, z gondoli przypatrywał się śmiałemu człowiekowi, unoszącemu się w powietrzu na kształt wielkiego tpaka. — Spadochronem posługiwał się również w Hiszpanii zakonnik angielski Elmerus i pewien Turek w Konstantynopolu. Proczym zaiste duchem musiał być obdarzony Jan Wilkins, biskup z Chester, gdy pisał, że nadejdzie czas, kiedy latanie w powietrzu będzie należało do rzeczy zwyczajnych; przy czem wyraził przypuszczenie, nadzwyczajne w tej epoce, że statki napowietrzne poruszane będą za pomocą pary.

W roku 1669, Włoch Borelli, badając lot ptaków, doszedł do przekonania, że człowiek posiada dość siły, ażeby mógł utrzymać się w powietrzu na sztucznych skrzydłach. Słuszna była jego uwaga, że człowiek nie został stworzony do latania, inaczej natura byłaby go zaopatrzyła w piersi nadzwyczaj szerokie, a zmniejszyłaby mu głowę do wielkości jabłka, może nawet byłaby go obdarzyła piórami. Byłby to w każdym razie ptak osobliwy. Uczone wywody Borelliego nie zniechęciły jednak zapaleńców, którzy pragnęli koniecznie szybo-

wać w powietrzu. Pewien kowal francuski, nazwiskiem Besnier, zbudował był w r. 1678, przyrząd skrzydlaty nowego rodzaju. Metalowe skrzydła miały kształt podwójnych wiosel, szerokich jak łopaty i wydrążonych. Były one przymocowane do ramion i do rąk. Lotnik, gdyby był znalazł się taki śmiałek, spuszczał się na tym przyrządzie z dachu, wieży lub wzgórza, poruszając prawą ręką i lewą nogą jednocześnie, i naprzemian lewą ręką i prawą nogą. Wymagało to ogromnej wprawy, zręczności i uwagi, każdy bowiem błąd pociągał za sobą upadek, grożący śmiercią. A jednak wynalazca odważył się na taką próbę i zapomocą przyrządu cięższego od powietrza, dzięki swej herkulesowej sile, zdołał pomaleńku wznieść się z ziemi... na szczyt dachu. Besnier znalazł uczniów naśladowców, którzy nie osiągnęli takiego jednak jak on powodzenia, gdyż brakło im zapewne takich żelaznych muszkułów. W każdym razie prosty kowal więcej przysłużył się lotnictwu, niż uczony filozof Bacon.

W taki to sposób krok za krokiem zbliżano się do urzeczywistnienia odwiecznych marzeń ludzkości; każdy człowiek dorzucał garść cennych doświadczeń i zdobyczy; każdy wiek przynosił postęp na tem polu. Jedyne wyjątek stanowi książka o żegludze napowietrznej, napisana przez zakonnika Galliena. Autor fantasa dowodzi w niej zupełnie poważnie, iż można by zbudował okręt napowietrzny tak olbrzymich rozmiarów, że pomieściłoby się w nim

wygodnie... cztery miliony podróźnych wraz z pakunkami. To napowietrzne miasto miało się unosić z największą łatwością i bezpieczeństwem nad Europę!...

Nieudale były próby margrabiego de Boequeville, który wzniósłszy się w Paryżu na spadochronie swego pomysłu, przeleciał w roku 1742, nad ogrodem Tuilleries i spadł w bałkę praczki nad brzegiem Sekwany. Wiele także drwin i żartów wywołał nieudały wzlot Blancharda na Polach Elizejskich; szyderey jednak nie przeczuwali, że blizki jest dzień, w którym lotnictwo będzie święciło pierwszy rzeczywisty swój tryumf. W roku 1777 Anglik Cavendish już pracował nad wodorem, Wołch Cavallo napełniał bańki gazem i przekonywał się, z jaką szybkością wznosiły się w góry, a w roku 1782 słynni bracia Montgolfier przekroczyli granicę dzielącą teorię od praktyki. Marzenia ludzkie spełniły się: koniec ośmnastego wieku oglądał narodziny lotnictwa.



